

Trisha David
„Ślub tysiąclecia”

Tłumaczyła Halina Mińska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sophie Connell odebrała telefon i usłyszała poirytowany głos siostry:

- Dzień dobry. Wyobraź sobie, że Bryn Jasper podkradł nam milenijny ślub.
- Co ty powiesz!

Brodą przytrzymała słuchawkę i wpięła w wieniec jeszcze jedną lilię. Odsunęła się, popatrzyła krytycznym okiem i z uznaniem skinęła głową. Wieniec wyglądał nadzwyczaj ładnie.

- Słuchasz mnie?
- Oczywiście.
- Musisz przyjechać i nas poratować - mówiła coraz bardziej zdenerwowana Ellie. - Dziadkowi serce krwawi, bo ten Jasper nie ma skrupułów.

Bryn Jasper, Bryn Jasper... Sophie wreszcie zdołała sobie przypomnieć, że siostra w listach skarżyła się na tego milionera właściciela Marlin Bluff Resort, o którym dziennikarze chętnie pisali.

- Czytałam, że on wszędzie zajmuje się ślubami.
- Ale tutaj od ślubów jest nasz dziadek.

Sophie westchnęła; jej zdaniem siostra była bardzo staroświecka.

- Czasy się zmieniły i coraz mniej ludzi bierze ślub w kościele.
- Wcale nie tak mało! - zawołała Ellie. - James i ja wzięliśmy kościelny ślub.
- Ale o was nikt nie powie, że jesteście nowocześni.
- Jesteśmy! Nawet bardzo! - Ellie podniosła głos. - Nie myśl, że skoro mieszkasz w Nowym Jorku, zjadłaś wszystkie rozумы. Słuchaj, musisz nam pomóc! To dla młodych milenijny ślub, a dla dziadka dwutysięczny i od dawna ustalony na pierwszego stycznia. Był przejęty jak nigdy i cieszył się, że ta młoda para będzie ostatnią, jaką połączy węzłem małżeńskim przed przejściem na emeryturę. Tylko to podtrzymywało go na duchu.

- Chcesz powiedzieć, że rozczarowanie go zabije?
- Całkiem prawdopodobne.
- Jak zwykle przesadzasz i histeryzujesz. Sześć lat temu dziadek groził, że umrze, jeśli pojedę do Stanów. Pamiętasz?

- Teraz sprawa jest poważna. Nie wiesz, jak bardzo on przeżywa to, że Jasper zabiera mu jedną parę za drugą. Dla dziadka to kwestia honoru, ale nie chce mi powiedzieć, kto zrezygnował. Gdybym miała adres tych ludzi, mogłabym pojechać do nich i porozmawiać. Sophie, jesteś potrzebna, bo ja nie mam siły w pojedynkę szarpać się z Jasperem.

- Mam przyjechać, żeby mu odebrać ten ślub?

- Tak. Powinnaś to zrobić dla rodziny.

Sophie była przyzwyczajona do taktyki siostry i odwoływania się do uczuć. Popatrzyła przez okno na ulicę, na brudny śnieg i stosy śmieci, których od ponad dwóch tygodni nie sprzątało z powodu strajku śmieciarzy.

Uzmysłowiła sobie, że w Nowym Jorku panuje zima, a w Northern Queensland zaczyna się pora deszczowa i Ellie, jeśli też patrzy przez okno, widzi bujną tropikalną zielenią. Wprawdzie w rodzinnych stronach w tym okresie często pada i jest mokro, ale wszystko rośnie w oczach, kumkają żaby, między jednym deszczem a drugim świeci słońce... Ogarnęła ją tęsknota za domem, więc tym łatwiej podjęła decyzję. Uznała, że wspólnik, Rick Hastings, może sam przez miesiąc zajmować się robieniem wieńców, co poniekąd będzie słuszną karą za to, że ostatnio obsługiwał wyłącznie wesela.

- Dobrze - powiedziała zdecydowanym tonem i uśmiechnęła się, ponieważ wyczuła, że siostra oniemiała z wrażenia. - Przyjadę i odbiorę Jasperowi ślub, na który dziadek liczył.

- Nie żartujesz?

- Ani trochę.

Oczywiście wyobraźni ujrzała dziadka w niewielkim kościele w Marlin Bluff. Pastor wyglądał dostojnie w najwspanialszym purpurowym ornacie, a kościół tonął w powodzi najpiękniejszych kwiatów. Postanowiła zrobić wszystko, aby odbył się ślub, wart wspomnienia przez tysiąc lat.

- Mówię poważnie i już szykuję się do walki z Jasperem. Obiecuję, że odbędzie się ślub, jakiego jeszcze nie było i wszyscy długo będą o nim mówić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dzień był upalny, więc Bryn Jasper wyszedł w samych szortach. Wyprowadził dogi bez smyczy, ponieważ droga była słabo uczęszczana, a w porze deszczowej nikt wtedy nie chodził. Toteż przestraszył się, gdy psy dopadły człowieka, przewróciły i stanęły nad nim. Na kilka sekund zamienił się w słup soli, a potem pobiegł na ratunek.

W błocie leżała na wznak młoda kobieta w jasnej sukni, opryskanej błotem. Miała czarne kręcone włosy, ładną twarz i roześmiane oczy.

- Precz stąd! - zawołała. - No, jazda!

Odepchnęła olbrzymie psy i próbowała usiąść, lecz one nadal lizały ją po twarzy. W dodatku oparły się o nią łapami, więc znowu się przewróciła, ale zamiast się rozgniewać, wybuchnęła śmiechem.

- Marty! Goggle! - krzyknął Jasper. - Do nogi!

Schwycił obroże i pociągnął, lecz psy się nie ruszyły; były zbyt podniecone tym, co wydarzyło się na drodze.

Sophie szła zamyślona drogą, którą w szkolnych latach przemierzała dwa razy dziennie. Nagle pojawiły się dwa dogi i ją przewróciły, a po chwili między nimi ukazał się półnagi mężczyzna. Poznała go, ponieważ widywała jego zdjęcia w różnych czasopismach. Jego nagość wprawiła ją w zakłopotanie, więc zamknęła oczy. Po chwili znowu spojrzała na jego mocne nogi, szeroką pierś oraz opaloną twarz i mokre włosy, z których woda spływała na czoło i policzki. Poczuli się jeszcze bardziej nieswojo, gdy zauważyła, że Jasper wpatruje się w nią z napięciem. Miał ciemne, głęboko osadzone oczy, które przymrużył, aby lepiej widzieć. Pomyślała, że w takich oczach można się zatracić. Gdy wreszcie zdołał odciągnąć psy, otworzyła usta, aby coś powiedzieć, lecz nie wykrztusiła ani słowa.

- Czy coś się pani stało? - zaniepokoił się Jasper.

- Nie. - Odzyskała głos. - Nic mi nie jest. Słyszał pan chyba, że kąpiele błotne są doskonałą kuracją na wiele schorzeń? Ta też pomoże, tylko nie wiem na co. - Niezgrabnie wstała i uśmiechnęła się zażenowana. - Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Brynem Jasperem?

Jej pytanie zbiło Jaspiera z tropu.

- Tak - bąknął. - A kim...

- Kim ja jestem i co tu robię? Nazywam się Sophie Connell. - Uśmiechnęła się uprzejmie. - Nie podam panu ręki, bo w tej chwili pana głównym zadaniem jest trzymanie psów. Jak się te bestie wabia?

- Marty i Goggle, ale...

- Czemu?

Jasper miał wiele pięknych znajomych, zatrudniał setki ładnych pracownic, a mimo to uroda ubłoconej kobiety go olśniła. Czuł, że traci grunt pod nogami.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Co tu jest do rozumienia? Chcę wiedzieć, dlaczego tak się wabią. Dla takich nie ułożonych psów Szatan i Łobuz byłyby stosowniejszymi imionami.

Uśmiechnął się rozbawiony, a wtedy stało się jasne, dlaczego jest określany mianem najatrakcyjniejszego kawalera pod słońcem. Bogaty, przystojny i uroczy...

- Tak nazywały się złote rybki mojej matki. Sądziłem, że to najlepsze imiona dla moich psów.

Sophie wyciągnęła z błota torbę, postawiła obok siebie i powiedziała:

- Bardzo stosowne i logiczne.

- Ooo?

- Bo przecież pańskie dogi nie mają więcej szarych komórek niż małe ryby. Nie dziwię się, że pana matka tak je nazwała.

- Wcale nie ona, tylko ja. Nadałem im takie imiona, żeby udobruchać matkę po tym, jak moje psy pożarły jej ukochane rybki.

- I co, dała się przebłagać? - Przewiesiła torbę przez ramię i postąpiła jeden krok.

- Czy gdyby mnie zagryzły, nazwałby je pan inaczej? Może na moją cześć wabiłyby się Sophie i Connell, co? Ile razy zmieniał im pan imiona? - Nim zdążył otworzyć usta, skinęła głową na pożegnanie. - Nie powiem, że miło mi było pana poznać, ale spotkanie niewątpliwie można nazwać interesującym. Żegnam pana.

W najbliższej okolicy znajdowała się jedynie plebania, więc Jasper spytał zdziwiony:

- Dokąd pani idzie?

- Na plebanie. Do dziadka, który jest proboszczem parafii świętego Marka.

- Pani dziadek jest pastorem?

- Tak. Hm, jak na takiego dużego mężczyznę nie ma pan chyba zbyt dużego mózgu, ale zgadł pan. Pańska matka może być dumna z syna. A teraz wybacz pan, ale...

Urwała i czekała, aby się odsunął.

- Idzie... pani do... wielbnego Johna Connella?

Sophie poczuła satysfakcję, że zbiła go z pantałyku.

- Miałam zamiar iść, ale jeszcze trochę, a będę mogła popłynąć.

Jasper postanowił zadać kilka pytań, więc nie odsunął się i udał, że nie zauważył ironii.

- Skąd się pani tutaj wzięła?

- Spod grzyba, jak krasnoludek. - Uśmiechnęła się pobłaźliwie, jakby do istoty niespełna rozumu. - Przepraszam, żartowałam, bo nawet tutaj nie rosną dostatecznie duże grzyby. Przyjechałam z Nowego Jorku.

- Z Nowego Jorku?

- To takie miasto w Stanach Zjednoczonych - poinformowała uprzejmym tonem.
- Słyszał pan o Ameryce?

W tym momencie Jasper stracił panowanie nad sobą i wybuchnął gromkim śmiechem. Dziwna kobieta podobała mu się coraz bardziej.

- Pani pozwoli, że pomogę nieść bagaż.

Nieopatrznie puścił psy, które znowu rzuciły się na Sophie. Zachwiała się pod ich ciężarem, lecz Jasper złapał ją za rękę i dzięki temu nie upadła. Psy szczekały jak szalone, Sophie krztusiła się ze śmiechu, a Jasper kłął pod nosem.

- Do nogi, tępaki, do nogi! Oddam was hycłowi. No, uspokójcie się...

Odepchnął psy i gdy znalazł się tuż przed Sophie, z wrażenia zabrakło mu tchu, ponieważ była uderzająco piękna. Stał tak blisko, że nagą piersią niemal dotykał jej piersi.

- Proszę mnie puścić - mruknęła i odsunęła się, chociaż chętnie nadal stałaby prawie przytulona do niego.

Jasper nie spełnił jej prośby; trzymał ją jedną ręką, a drugą odpędzał dogi.

Sophie też krzyczała na psy:

- Siad! Nie mam zamiaru uciekać i jeśli będzie trzeba, zaczekam, aż pójdziecie do domu.

- Przepraszam panią...

- Niechże pan wykombinuje sposób na utrzymanie psów, bo chcę spokojnie odejść. Wiem, że to dla pana trudne zadanie, ale bardzo proszę.

- Cholera!

- Proszę nie przeklinać, bo to nic nie da. Niech pan wymyśli coś rozsądnego.

Jasper patrzył na nią oniemiały z zachwyty i nie był w stanie myśleć w obecności tak ślicznej kobiety. Ubłocona suknia oblepiła jej ciało i tym samym podkreśliła linie idealnej figury. Starał się opanować i myśleć spokojnie. Wiedział, że powinien zabrać psy i odejść, lecz nie miał na to najmniejszej ochoty. Pragnął nadal stać blisko i jeszcze mocniej objąć Sophie.

Zamknął oczy, ponieważ tylko w ten sposób mógł zebrać myśli. Dość prędko znalazł rozwiązanie. Wyjął telefon komórkowy, wybrał numer i władcym tonem zapytał:

- Joe, gdzie teraz jesteś? Ja stoję na drodze, prowadzącej do kościoła i chcę, żeby ktoś przyszedł po psy. Naprawdę jesteś niedaleko? No, to doskonale się składa. Pospiesz się, bo to pilna sprawa.

Schował telefon i odwrócił się ku Sophie, która stała w tym samym miejscu, o krok od niego. Pod wpływem jej zachwyconego spojrzenia serce zaczęło mu bić tak mocno jak po długim biegu.

- Szkoda, że ja nie mam takiego Joe na zawołanie - powiedziała głosem, w którym wyczuwało się tłumione rozbawienie.- Gdybym miała usłużnego pomocnika, też zafundowałabym sobie psa. - W jej oczach pojawiły się wesołe błyski. - Mogłabym zaryzykować i wyjść za mąż, nawet urodzić kilkoro dzieci. Życie byłoby jak w bajce, bo tylko bym wydawała polecenia: „Joe, przygotuj lunch. Idź z dziećmi na spacer. Przypilnuj, żeby mąż za długo nie oglądał transmisji". Z takim Joe nawet małżeństwo byłoby do zniesienia.

Stali po kostki w błocie, psy niecierpliwiły się, gotowe do skoku. Jasper uśmiechnął się, ponieważ zdawał sobie sprawę, że stanowią komiczny widok, ale wyjątkowo mu to nie przeszkadzało. Młoda kobieta coraz bardziej go intrygowała, więc chciał od razu dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

- Wątpię, żeby Joe zgodził się grać rolę pokojówki i kucharki. Na pewno bardziej by go interesowała rola męża pięknej pani... - Przerwał i zrobił zaskoczoną minę. - Dlaczego nie jest pani mężatką? Dziwne.

- Co w tym dziwnego? Małżeństwo mnie nie pociąga. - Posępny spojrzeniem obrzuciła suknię. - Zresztą, kto mnie weźmie? Jak ja wyglądam? Teraz wcale nie jestem podobna do ludzi. A pan jest żonaty?

Jasper drgnął zaskoczony, ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, a w dodatku i jemu zadano osobiste pytanie.

- Nie - bąknął.

- Odpowiada to panu?

- Nie mam czasu na rodzinę - rzucił krótko.

- Dlatego że każdą chwilę poświęca pan psom? Od razu tak pomyślałam. Pewno codziennie po kilka godzin je pan tresuje i dlatego są takie ułożone.

- Proszę pani...

- Słucham? - Uśmiechnęła się filuternie. - Proszę pana...

- Jeśli będzie pani nadal ze mnie kpić, puszczę dogi.

Zrobiła przerażoną minę i podniosła ręce do góry.

- Tylko nie to, panie Jasper. Błagam pana. Tylko nie to!

Zerknęła na boki, aby sprawdzić, czy może zrobić to, na co miała ochotę, od chwili gdy wysiadła z autobusu i poczuła krople deszczu na twarzy. Zrobić coś, co z siostrą

zawsze robiły, gdy padało i bez czego powrót do domu nie byłby prawdziwy. Obejrzała się, aby zobaczyć, czy ziemia jest miękka i... przewróciła się na wznak, rozpryskując błoto na wszystkie strony.

Jasper wytrzeszczył oczy i zupełnie nie rozumiał, co się stało. Czy ta urocza kobieta zasłabła? Pochylił się, przyjrzał się jej uważnie i zobaczył rozbawione oczy, więc wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

W tym momencie nadszedł Joe i ujrzał następującą scenę: jego pracodawca podrygiwał ze śmiechu, a na ziemi leżała ubłocona kobieta.

- Przepraszam...

Jasper nie od razu go zauważył, ale Sophie poznała przybyłego po wielkiej bliźnie, biegnącej od czoła do brody. Uśmiechnęła się promiennie do kolegi ze szkolnych lat i westchnęła zadowolona, ponieważ coraz wyraźniej czuła, że przyjechała do domu.

- Wzywał mnie pan, prawda? - zwrócił się Joe do zdziwionego Jaspera, wpatzonego w Sophie. - Czy... ma pan... jakiś kłopot?

Sophie otarła błoto z twarzy, ale nadal leżała, gdyż było jej miękko, wygodnie i dobrze jak za dawnych lat.

- Tak - odpowiedziała zamiast Jaspera. - Twój szef mi groził, więc dobrze zapamiętaj, jaką sytuację zastałeś. Zemdlałam z przerażenia, czego skutki mogą być niemiłe i długotrwałe. - Spojrzała na Jaspera. - Jeśli sprawa trafi do sądu, może pan zostać w jednej koszuli.

- Oj, Sophie, Sophie! Nic się nie zmieniłaś i jak zwykle trzymają się ciebie żarty - zawołał Joe. - Nie ciągnij mojego szefa po sądach, bo widzisz, że biedak nie ma nawet koszuli na grzbiecie. - Zaśmiał się z cicha, pochylił i wyciągnął rękę. - Wciąż lubisz psie figle? Cieszę się, że cię widzę. Wstawaj, szalona pannico. Dowiedziałem się od Ellie o twoim przyjeździe. Wielebny pastor nie posiada się z radości, że zobaczy ukochaną wnuczkę.

- Nawet w takim stanie? - Nie zważając na to, że jest oblepiona błotem, objęła go i ucałowała w policzek. - Witaj! Nie wiedziałam, że najałeś się do pracy u pana Jaspera. Jak się czuje twoja mama?

- Dziękuję, doskonale. Ucieszy się, jeśli ją odwiedzisz.

- Przepraszam państwa - wtrącił się zdezorientowany Jasper. - Joe, miałem zamiar cię przedstawić, ale widzę, że znasz...

- .. .tę śliczną i elegancką damę - dokończyła Sophie z niewinną miną. - Czy to chciał pan powiedzieć?

- Ależ oczywiście.

Joe wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Znam ją od dawna i na wylot. Jako uczniowie razem wypaliliśmy pierwszego... i ostatniego... papierosa. Pamiętam, że uwielbiała robić orły w błocie. - Popatrzył na ślad, jaki został na ziemi. - Obie robiły orły, gdzie tylko się dało. Staraly się zrobić jak najwięcej pod koniec pory deszczowej, żeby potem przy drodze widniały te ich znaki. Sophie długo mieszkała tu z dziadkiem, aż pewnego dnia strzeliło jej do głowy, żeby pojechać do Stanów i tam szukać szczęścia i pieniędzy. - Popatrzył na nią z uznaniem. - Ellie jest z ciebie dumna i twierdzi, że dopięłaś swego.

- Nie zrobiłam żadnych kokosów...

- Pokazała mamie jakieś kolorowe czasopismo... nie pamiętam tytułu, ale podobno najlepsze... w którym było o tobie. Układasz niebywałe kompozycje z kwiatów. - Odwrócił się do szefa. - Ona zawsze miała czarodziejskie ręce, jeśli chodzi o kwiaty, ale to, co teraz robi... Ellie chwali się na prawo i lewo, że jej siostra zdobywa międzynarodowe nagrody.

Sophie zauważyła, że Jasper nie odrywa od niej wzroku. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że suknia stanowczo za mocno ją oblepia. Speszyla się.

- Joe, przestań, bo przewróci mi się w głowie. - Wzięła torbę. - Panowie pozwolą, że ich pożegnam. Tylko proszę trzymać psy.

- Odprowadzę panią - rzekł Jasper. - Joe, bądź tak dobry i zaopiekuj się psami...

- Może pan zostanie, a Joe mnie odprowadzi? Jesteśmy starymi znajomymi.

- Nie.

Joe i Jasper odezwali się jednocześnie. Joe popatrzył na swego przełożonego i się uśmiechnął.

- Dobrze, niech pan ją odprowadzi. Ja jestem jej starym znajomym, a teraz ma okazję poznać nowego. Coś mi się zdaje, że może pana bardzo zainteresować. Marty, Goggle, idziemy!

Dogi posłusznie wstały. Joe uklonił się i odszedł, lekko utykając.

Zapanowało milczenie. Sophie miała nietęgą minę. Zawsze, odkąd sięgała pamięcią, robiła orły w błocie, co traktowała prawie jak sztukę lub dyscyplinę sportu. Od dawna jednak nie była dzieckiem, miała dwadzieścia osiem lat, a zrobiła orla na oczach obcego mężczyzny, który prawdopodobnie uznał ją za osobę niespełna rozumu. Zerknęła na niego zażenowana. Stał tuż-tuż, był prawie nagi, więc tym bardziej ją peszył.

- Czy nadal chce pani podać mnie do sądu i puścić mnie torbami?

- Chyba nie. - Oblała się gorącym rumieńcem. - Joe odradził, a on jest rozsądny.

- I naprawdę tak długo się znacie?

- Tak. - Zmarszczyła brwi, jak gdyby intensywnie myślała. - Czegoś tu nie rozumiem. Joe jest kulawy... Po wypadku nie chodził do szkoły przez dwa lata, a

potem przyszedł do mojej klasy i prędko się zaprzyjaźniliśmy. Bardzo chciał być ogrodnikiem, ale jego matka twierdziła, że nie nadaje się do takiej pracy.

- Jednak się nadał.
- Jak się wywiązuje z obowiązków?
- Dobrze. Jest kierownikiem, więc nie ma fizycznie wyczerpującej pracy. Imponuje mi swoją wiedzą o roślinach; takiego fachowca jeszcze nie miałem. Doskonale sobie radzi. - Po chwili spytał ciszej: - Idziemy?

- Zaraz. Najpierw muszę powiązać jedno z drugim. Kiedyś siostra napisała mi, że właściwie został uznany za niezdolnego do pracy fizycznej. No, bo jeśli się potknie, może coś mu się stać i wtedy pracodawca będzie musiał słono za niego płacić. Jego matka martwiła się, że nikt go nie zatrudni, chociaż ukończył wszelkie możliwe kursy ogrodnicze i robił wszystko, żeby dostać wymarzoną pracę. Jasper nie odezwał się ani słowem, a Sophie patrzyła na niego zamyślona. Ellie opisała go jako bezwzględnego człowieka, ale taki przecież nie zatrudniłby niesprawnego pracownika.

Przeszli kilka kroków, nim rzekła:

- Pan jednak dał mu pracę.

Jasper znowu nic nie powiedział.

- Rzekomo jest pan osobnikiem, który dla zysku nie liczy się z nikim i niczym.

Nie rozumiem.

- To znaczy, że pani by go nie zatrudniła u siebie?
- Mamy nieduży lokal i tysiące kwiatów, więc poza Rickiem i mną nikt więcej się nie zmieści. Musielibyśmy pracować na ulicy.
- Niech pani nie udaje, że nie wie, o co mi chodzi.
- Sugeruje pan, że ja bym nie zaryzykowała i go nie zatrudniła? Może ma pan rację. Ale i tak nie pojmuję...

- Joe jest wart tego, co mu płacę, ale dość o nim. - Ruszył tak wielkimi krokami, że nie mogła nadążyć. - Wie pani, że od drugiej strony dochodzi tu bardzo dobra droga? Ciekaw jestem, czy pomyślała pani o tym, że są na świecie taksówki, a celem taksówkarzy jest między innymi wożenie ludzi z lotniska do domu.

- Co pan powie! - zawołała, robiąc wielkie oczy.
- Niech pani nie udaje. Na pewno nie stać pani na taki duży wydatek... tak samo jak na zatrudnienie Joego.
- Może.
- Jeśli prowadzi pani kwaciarnię w Nowym Jorku...
- Na spółkę z Rickiem, bez którego ledwo bym wiązała koniec z końcem - wyznała pogodnie. - O co chodzi? Moja torba jest za ciężka dla pana? Pomogę.

Jasper niecierpliwie szarpnął torbę. Miał tak skupiony wyraz twarzy, jakby rozwiązywał wielki problem.

- Przyjechała pani na dłużej?
- Owszem.
- Tylko po to, żeby odwiedzić dziadka?
- Ellie i Jamesa też. I Pete, Lily, Susan, Matildę i...
- Zaraz, zaraz! Kim oni są? Nie, proszę mi nie mówić, Ellie pani siostra, a James

pewno jest jej mężem. Poznałem go: szwagrostwo mieszkają w Port Douglas, ale często bywają tutaj. Pete, Susan, Lily i Matilda to ich dzieci?

- Niezupełnie. - Zaśmiała się perliście. - Pete i Susan to ich dzieci, czyli moi siostrzeńcy, ale Lily i Matilda to psy.

- Czarne i spasione. Wiem, bo moje raz się z nimi spotkały.
- I nie pożarły biedaczek?
- Nie wiem, jakie zwierzę miałoby odwagę ugryźć takie tłusciochy. Gdyby to

były krowy, ich mięso starczyłoby dłużej niż na rok. Tyle tłuszczu...

- Jest pan okropny! - krzyknęła dotknięta. - Lily była moim psem, bardzo ją kochałam i nie pozwolę jej krytykować. Propouję, żebyśmy się rozstali. Proszę oddać mi bagaż.

Schwyciła torbę, której Jasper nie puścił, więc poczuła ciepło jego dłoni i zrobiło się jej gorąco. Z jego ręki promieniowało nie tylko ciepło, lecz i coś niepokojącego. Nie rozumiała, co to jest, lecz miała ochotę przysunąć się do niego bliżej. Zamiast tego zaczęła wrywać mu torbę.

- Proszę mnie dalej nie odprowadzać. Ja... tego... wolałabym iść sama. Dziękuję, że nie pozwolił pan swoim psom rozszarpać mnie na kawałki, ale... .teraz ...

Jasper jakby ogłuchł. Mocno trzymał torbę, więc, chcąc nie chcąc, musiała ją puścić.

- O, tak lepiej - pochwalił. - Proszę grzecznie iść u mego boku. I przestańmy się nawzajem obrażać.

- Czemu? Bardzo lubię się przekomarzać, a z panem przychodzi mi to szczególnie łatwo.

- Nie radzę drażnić ewentualnego szefa. Chcę zaproponować pani pracę. Co pani na to?

ROZDZIAŁ TRZECI

- Pracę? Jaka?

Podał szczegóły propozycji oraz powody, dla których tak pilnie szuka pomocy.

- Jest wakat - zakończył - bo Wendy niestety zapalała wielkim uczuciem do młodego urzędnika.

- Dlaczego niestety?

- Dlatego że Brian był zaręczony z kelnerką. W końcu musiałem zwolnić Wendy, a Brian poszedł za nią i skutek jest taki, że zostałem bez dwóch dobrych pracowników, a kelnerka ma złamane serce.

- Zwalnianie kogoś za to, że się zakochał, jest niehumanitarne - zawołała oburzona.

- Też tak uważam i jeśli romans jest dyskretny, przymykam oczy. Tym razem jednak miarka się przebrała, gdy w restauracji Wendy cisnęła półmiskiem z jedzeniem i zamiast w Maureen, trafiła w gościa. Uznałem, że posunęła się za daleko i że mam tego dość.

- Aha.

- Są granice tolerancji i cierpliwości. Ale w związku z tą awanturą znalazłem się w tarapatach.

- Sądziłam, że pański ośrodek nie ma kłopotów z naborem pracowników.

- O pokojówki i kelnerki stosunkowo łatwo, ale układanie kwiatów jest sztuką. Wendy była doskonała, więc chciałbym znaleźć kogoś równie zdolnego.

Mimo to ryzykuje pan, mnie proponując jej miejsce. Nie widział pan żadnej mojej kompozycji.

- Na bezrybiu i rak ryba... Joe wychwala panią pod niebiosa, a kwiaciarnia w sercu Nowego Jorku jest dobrą wizytówką, zaraz po zwolnieniu Wendy zacząłem szukać następczyni, ale na przełomie tysiącleci wszyscy, którzy coś sobą reprezentują, już są zatrudnieni. Zaangażowałem Louise, ale ona nie ma fantazji i już dwie panny młode były niezadowolone.

- Fatalnie.

Jasper uśmiechnął się tak czarująco, że wystraszyła się, iż ulegnie jego prośbie i zrobi coś, czego potem będzie żałowała.

- Wiem, że dla pani to jest mało ważne, ale obiecuję narzeczonym wszystko, co najlepsze. I jeśli podejrzewam, że panna młoda mogłaby otrzymać ładniejsze kwiaty w Cairns, Sydney czy... w Nowym Jorku, to, we własnym mniemaniu, nie wywiązuję się z zadania.

- Ale... - Przygryzła wargę i udawała, że nad czymś się zastanawia. - Przyjechałam na wakacje...

- Nie proponuję pełnego etatu i na stałe - pospieszył wyjaśnić. - Gdyby pani mogła ułożyć jedną piękną kompozycję w foyer, pouczyć Louise, jakie bukiety ustawić na stołach i obsłużyć śluby...

- Ile ślubów?

- W tym miesiącu po trzy tygodniowo, a potem jeden pierwszego stycznia. Rozesłałem reklamy na cały świat, więc chcę, żeby ten pierwszy w nowym tysiącleciu był prawdziwie milenijnym ślubem. Ma być najwspanialszy pod każdym względem, dlatego odejście Wendy jest katastrofą i spędza mi sen z oczu. Jak pani zapatruje się na moją propozycję?

Sophie spuściła głowę i zapatrzyła się w czubki zabłoconych butów. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ponieważ rzeczywiście przyjechała, aby odpocząć i nie miała ochoty pracować, lecz trzy śluby w tygodniu...

W Nowym Jorku rzadko układała kwiaty na wesela, chociaż sprawiało jej to największą przyjemność. Tutaj miałyby do dyspozycji bogactwo tropikalnej flory i nie musiałyby liczyć się z kosztami. Mogłyby ziszczyć jej najśmielsze marzenia.

Przypomniała sobie, że milenijny ślub jest tym, który postanowiła odebrać Jasperowi i przekazać dziadkowi, a wiedziała, że najlepiej jest przeprowadzić akcję od środka, czyli na terenie przeciwnika. Podczas rozmowy z panną młodą o bukiecie ślubnym będzie miała okazję zasiać ziarno wątpliwości, podsunąć myśl o uroczystości w kościele, przekonać, że ślub kościelny jest bardziej podniosły i romantyczny niż cywilna ceremonia.

Pamiętała, że ma do czynienia z człowiekiem bez skrupułów i że wszystko jest dozwolone w miłości, na wojnie oraz... w interesach. Spojrzała na Jaspiera roziskrzonym wzrokiem.

- Zgodzę się u pana pracować, ale pod warunkiem, że dostanę nowojorską stawkę.

- Dobrze. Ja z kolei zastrzegam sobie prawo do ewentualnej zmiany decyzji po pierwszym ślubie. Jeśli będę zadowolony z pani usługi, chętnie zapłacę tyle, ile pani zażąda.

- Wszystko będzie na medal - obiecała z przekonaniem. - Zajmę się weselami i zrobię to tak, żeby mnie samej było wesoło.

Sopnie zapowiedziała, że przyjedzie w sobotę, a tymczasem udało się jej wcześniej uporać z pracą i przyleciała w piątek, gdy weszła do kuchni, Ellie krzątała się przy piecu, a dziadek siedział przy stole, z wnuczętami na kolanach i psami u nóg. Na widok ubłoconej Sophie i półnagięgo Jaspiera domowników ogarnęło nieopisane zdumienie.

- Dzień dobry - odezwał się Jasper swobodnym tonem -wielebny pastorze, przyprowadziłem pańską wnuczkę.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Dzień dobry - cicho powiedziała Sophie.

Pan Connell pierwszy odzyskał przytomność umysłu i mowę. Postawił dzieci na podłodze i szerokim gestem objął wnuczkę, nie zważając na stan jej sukni, a do Jaspera zwrócił się ze słowami:

- Sophie miała przylecieć samolotem, ale widzę, że pan przeprowił się z nią przez błota.

Lody zostały przełamane. Dzieci zaczęły krzyczeć, psy ujadać, Ellie uśmiechnęła się, a Jasper zawrócił do drzwi.

- Do widzenia. Jutro czekam w ośrodku o dziewiątej. - Zauważył, że gospodarz chce go odprowadzić, więc dodał: - Nie, proszę się nie fatygować.

Wychodząc, uśmiechnął się znowu tak, że serce Sophie zmiękło jak wosk.

- O czym on mówił? - spytała podejrzliwa Ellie.

Sophie wysunęła się z objęć dziadka i ucałowała siostrę.

- Nie cieszysz się, że już jestem? Czyżby ten pan interesował cię bardziej niż ja?

- Nie... Tak... - Ellie przyjrzała się jej uważnie. - Może zechcesz powiedzieć, co to wszystko znaczy?

- Jestem w domu! - Sophie z radości okręciła ją w kółko. - Nic innego się nie liczy.

- Bo ja wiem... Może nie, ale...

- Co?

- Przecież to był Bryn Jasper!

- I co z tego? - Wzięła dzieci na ręce. - Rośniecie jak na drożdżach. Niedługo was nie udźwignę.

- Sophie, powiedz... - zaczęła Ellie.

- Cześć, Lily. Cześć, Matilda. Pamiętacie mnie? - Przyklęknęła i pogłaskała psy, ale zaraz się odsunęła. - Co tak węszyć? Poczuliście Marty i Goggle'a?

- Co ty wygadujesz?

- Mówię o dogach Jaspera.

- O jego psach? - W oczach Ellie zapłonął gniew. - Zwariuję, jeśli zaraz nie powiesz, co się święci. Gdzie spotkałaś Jaspera? Dlaczego jesteś utyłana w błocie i wyglądasz jak nie-boskie stworzenie? Czemu idziesz do niego jutro rano? Czy zauważyłaś, że był prawie nagi? Sophie! Mówię do ciebie!

- Słyszę i wiem na sto procent, że jestem w domu. Hałasujące dzieci i psy oraz histeryzująca siostra. Dziaduniu, tak się cieszę, że jestem z wami.

- Ja też się cieszę. Ale znasz Ellie, gotowa dotrzymać słowa, więc nie przeciągaj struny i powiedz jej, o co w tym wszystkim chodzi.

- O nic szczególnego. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Psy Jaspera wpadły na mnie i przewróciły, a on pomógł mi wstać i zaproponował pracę u siebie. Będę miała doskonałą okazję odebrać mu nasz ślub, a po to przecież tu przyjechałam. Od początku wszystko idzie jak z płatka.

- To nieuczciwe! - krzyknęła zgorziona Ellie.

- Nie widzę w tym nic złego - broniła się Sophie. - Na świecie pełno jest szpiegów różnej maści, więc i ja mogę się bawić w robotę dywersyjną. Twoje zastrzeżenia nie odwiodą od tego zamiaru.

N otoczeniu bliskich czuła się odważna i pewna siebie. Nazajutrz jednak ogarnął ją strach, więc idąc na spotkanie z Jaspera coraz bardziej zwalniała kroku.

Rozległy teren Marlin Bluff Resort przypominał zaczarowaną krainę z bajki. Ciepły wiatr szumiał wśród palm, a od strony rzeki dobiegał szmer wody. Dość długi i szeroki hotel z lśniąco białego kamienia stał na tle turkusowych fal w Great Bar-Reef. Budynek tak zaprojektowano, by samym wyglądem zapraszał do środka. Ściany zewnętrzne były rozsuwane, więc podczas pięknej pogody goście, siedząc pod dachem, mieli wspaniały widok na góry z jednej strony, a morze z drugiej, olbrzymie foyer, mające kilkaset metrów kwadratowych, było sądzone z przepychem.

Sophie weszła po schodach wyłożonych płytkami i przy drzwiach stanęła, aby popatrzeć na kwiatowe kompozycje, ustawione naokoło. Zrozumiała, dlaczego Jasperowi jest potrzebny fachowiec z fantazją. Kwiaty były przepiękne, ale koniecznie wymagały efektowniejszego ułożenia.

Po drugiej stronie budynku znajdował się ogromny basen z usypanymi łachami piasku; trudno było powiedzieć, gdzie kończy się basen, a zaczyna prawdziwa plaża. Na powierzchni wody leniwie unosiło się kilka osób.

Sophie zaczęła się zastanawiać, czy potrafi pracować w miejscu sprzyjającym lenistwu. I zważyła, czy uda jej się namówić młodą parę, by zrezygnowała z luksusu i wzięła ślub w skromnym kościele.

Kościół stał nad brzegiem morza, był prosty i bardzo skromny, lecz jego prostota była urzekająca. Zdaniem Sophie miał wyłącznie plusy, mimo iż drewniana podłoga była mocno zniszczona, a ławki pociemniały ze starości. Jedyne witraż za ołtarzem oparł się działaniu czasu i wciąż wyglądał jak nowy.

Przyglądziła włosy, obciągnęła spódnice i podeszła do recepcjonistki z mocnym postanowieniem, że weźmie przykład z Jamesa Bonda i równie sprawnie przeprowadzi zaplanowaną akcję.

- Dzień dobry. Nazywam się Sophie Connell. Mam umówione spotkanie z panem Jasperem.

Recepcjonistka spojrzała na nią z nie ukrywaną ciekawością.

- Proszę tędy. Pan Jasper mówił mi o pani.

Sophie zastanawiała się, co młoda kobieta o niej wie i co sądzi. I czy dowiedziała się również o orłach w błocie.

Recepcjonistka zapukała do podwójnych dębowych drzwi i wprowadziła ją do gabinetu właściciela hotelu. Sophie z trudem stłumiła okrzyk zachwytu, ponieważ gabinet był wielkości sali teatralnej, a biurko rozmiarem przypominało scenę. Za przeszkloną ścianą widać było przestwór oceanu.

- Witam.

Jasper wstał zza biurka. Poprzedniego dnia, ubrany tylko w spodenki, wyglądał jak grecki atleta, a teraz, w doskonale skrojonym garniturze, jak model z żurnala. Był wysoki, potężny. Sophie przemknęła myśl, że tak potężnemu człowiekowi nie zdoła nic odebrać. Gdy na powitanie ujął jej dłoń, z wrażenia przymknęła oczy.

- Dzień dobry - rzekła półgłosem.

Aby dodać sobie odwagi, powtarzała, że nie potrzebuje ani pieniędzy, ani pracy i robi Jasperowi łaskę, przyjmując jego propozycję, ponieważ znalazł się w trudnej sytuacji.

- Gdzie są groźne psy? Zastanawiałam się, czy przyjść ze strzelbą.

- Joe ich pilnuje - odparł dziwnie speszony. - Ze mną chyba się nudzą.

- Tak podejrzewałam. ..I z nudów obgryzają gościom pięty, prawda? - Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. - Dobrze się pan wyszorował.

Jasper nie był przyzwyczajony do poufałości w miejscu pracy więc się nachmurzył, ale prędko opanował. Bez pośpiechu obejrzał ją od stóp do głów i rzekł:

- Mógłbym to samo powiedzieć o pani. Witam w Marlin Bluff.

Nie wypuszczał jej ręki ze swojej, a Sophie czuła, że coraz mocniej się rumieni.

- Już wczoraj mnie pan powitał.

- Ale teraz witam w Marlin Bluff Resort.

- O! Mówi pan o swoim ośrodku tylko „Marlin Bluff”, bez dodawania „Resort”?

- Tak. Przecież tutaj właściwie niczego niema... poza moim ośrodkiem.

- Nieprawda! Są ludzie, którzy tu mieszkają na stałe. I mieszkali, gdy panu jeszcze nie śnił się ośrodek.

- Ci „ludzie” to na przykład pani?

- Tak. - Czuła narastające rozdrażnienie. - Przed wybudowaniem ośrodka, kwitło tu życie miejscowej społeczności.

- Rozmija się pani z prawdą. Wioska powoli wymierała, a niedługo nawet kościółek zostanie zamknięty na głucho.

- To przez pana! Zabrał pan dziadkowi wszystkie śluby.

- O, przepraszam, to niesprawiedliwy zarzut. - Gniewnie zmarszczył brwi. - Kościoły i kaplice służą nie tylko do udzielania ślubów, a tutejszy pastor już od dawna nie ma parafian, bo wszyscy się wyprowadzili. Port Douglas znacznie się rozrósł i oferuje mieszkańcom znacznie więcej niż Marlin Bluff. Proces obumierania zaczął się na długo przedtem, nim otworzyłem ośrodek. Nie jestem potworem, który wykupił ziemię i wyrzuca pastora. Trudno mnie winić o to, że kościół zostanie zamknięty.

- Ale...

- Ale co?

Westchnęła i usiłowała się uśmiechnąć, lecz ze smutkiem przyznała:

- Ma pan rację. Tylko że ja jestem uczuciowo związana z wioską i boli mnie, gdy słyszę, że mówi się o Marlin Bluff jako o ośrodku, z pominięciem stałych mieszkańców. - W jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski. - Przecież dziadek jeszcze odprawia nabożeństwa i my nadal tu mieszkamy.

- Jak to? Pani siostra mieszka w Port Douglas i tylko czasami tu przyjeżdża, a pani... wyniosła się aż za ocean.

- Ale teraz jestem tutaj. - Dumnie uniosła głowę. - I mieszkam w Marlin Bluff, a nie w Marlin Bluff Resort.

- Niech i tak będzie. Możemy uznać, na miesiąc, że Marlin Bluff żyje własnym życiem poza ośrodkiem. Ale po przejściu pani dziadka na emeryturę i po sprzedaży kościółka...

- Dopiero w następnym tysiącleciu - przerwała rozgniewana. - To jeszcze dużo czasu i na razie nie jest pan właścicielem Marlin Bluff.

- Dobrze, pani Connell, zgadzam się z panią, ale po sprzedaży... Ośmielam się sądzić, że w styczniu przyszłego roku miejscowość będzie moją własnością.

Sophie uśmiechnęła się niewinnie, lecz pomyślała, że ewentualnie dopiero drugiego stycznia, gdyż pierwszy dzień nowego roku będzie należał do dziadka. Postanowiła nie zwracać się do Jaspera oficjalnie, po nazwisku, i dlatego powiedziała:

- No, ostatecznie mogę się z panem... z tobą zgodzić. A teraz przejdźmy do konkretów. Czym mam się najpierw zająć: kwiatami czy przyszłymi mężatkami?

Jedno wesele miało się odbyć za dwa dni.

- Już wiesz, że znalazłem się w przykrym położeniu – rzekł Bryn, gdy szli korytarzem. - Panna młoda nazywa się Diana McInerney; jej ojciec jest w porządku, ale matka i druhny... - "...grymaśne" jest zbyt łagodnym określeniem. Kolejne spotkanie nimi jest wyznaczone na dziesiątą.

- Jakieś nieporozumienie?

- Nie spodobały im się próbne bukiety. Wczoraj matka panny młodej zagroziła, że sprowadzi jakąś sławę z Cairns. - Skrzywił się. - To bardzo, bardzo bogaci ludzie, a wokół ślubu ich córki jest tyle szumu, że boję się kompromitacji. Między innymi dlatego sprawdziłem, co sobą reprezentujesz.

- Co zrobiłaś?

- Nie denerwuj się. Poleciałem zaufanej osobie, żeby jak najwięcej dowiedziała się o tobie i dzięki temu McInerneyowie dostali kilometrową listę ślubów, które obsłużyłaś.

- Ja? - Spojrzała na niego zezem. - Tylko ja, czy do spółki z Rickiem? Chyba wiecie, że ja zajmuję się głównie pogrzebami? - Wybuchnęła zduszonym śmiechem. - Robię bardzo oryginalne wieńce i na przykład potrafię jedną kompozycją zakryć całą trumnę. Raz na wieku ułożyłam imię zmarłej z kolorowych nieśmiertelników.

- Hm, wszystko rzecz gustu - mruknął Bryn. - Ja na twoim miejscu nie chwaliłbym się tym przed McInerneyami.

- Czemu?

- Choćby dlatego, że tak ci każe pracodawca, czyli ja.

- Też powód!

Ku jej zaskoczeniu Bryn roześmiał się serdecznie, a wtedy zdała sobie sprawę, że jego uśmiech może działać więcej niż pieniądze.

- No więc dlatego, że cię proszę.

- Dobrze - zgodziła się drżącym głosem. - Nie martw się, wesele też potrafię obsłużyć, choć to domena Ricka.

- Już wczoraj o nim wspominałaś. Kim on jest?

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ otworzył drzwi i stanął jak wryty. W przestronnym pomieszczeniu, pełnym wiader i wanien z kwiatami, było kilka milczących młodych kobiet oraz głośno krzycząca otyła matrona.

- Tylko tego brakowało - jęknął Bryn. - Żeńska połowa klanu McInerneyów przyszła pół godziny wcześniej. Odwagi, bo czeka cię próba ogniowa. Wszystkimi despotycznie rządzi matka, więc miej się na baczności. Uprzedzam, że jeśli wspomnisz choćby słowem o trumnie, tobie będzie potrzebna.

Sophie, która bynajmniej się nie spieszyła, ujmując się uśmiechnęła i z wyciągniętą ręką podeszła do matrony.

- Dzień dobry pani. Nazywam się Sophie Connell i jestem odpowiedzialna za kwiaty w Marlin Bluff Resort. Przykro mi, że wcześniej nie dane mi było pani poznać, ale dopiero wczoraj przyleciałam z Nowego Jorku. - Spojrzała na zdenerwowaną blondynkę w średnim wieku. - Jak sprawy stoją?

W oczach Louise czaił się lęk, że zostanie zwolniona z pracy. Pokazując bukiet z gladioli i irysów, powiedziała cicho:

- Niezbyt dobrze. Pani McInerney kazała mi ułożyć nowy bukiet, ale i ten nie zyskał jej uznania, więc chce sprowadzić pana Jobiera.

- Paula Jobiera? Spotykamy się na międzynarodowych zjazdach. Jest bardzo dobry... nie geniusz, ale dobry.

- Czegoś takiego by nie zrobił - syknęła pani McInerney, wrywając kwiaty z rąk Louise. - Zamówiłam niecodzienny bukiet, a nie taki smutek przepastny. Sophie popatrzyła na kwiaty okiem znawcy.

- Proszę pani, ten bukiet został ułożony zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki, ale jeśli pani woli coś bardziej rzucającego : w oczy... - Rozejrzała się. - Skoro nie lubi pani mieczyków, możemy wziąć żółte lilie. Chodzi o kolor złota, prawda? A wie pani, co, moim zdaniem, wyglądałoby intrygująco... i byłoby w australijskim duchu? Jeśli pragnie pani ujrzyć zdjęcia córki w najlepszych czasopismach kobiecych, radzę zaryzykować *typha domingensis*. Wyjęła wymienioną roślinę z najbliższego wiadra. Brązowe strąki na łodydze z kolcem wyglądały jak długa gładka fasola. Gałązka była elegancka, zaskakująca, a jednocześnie niewyszukanie ładna. Sophie zastąpiła gladiole ciemnożółtymi liliami, dołożyła *typha domingensis* i obrzuciła bukiet krytycznym spojrzeniem.

Teraz jest bardziej elegancki, ale za mało wdzięczny na wesele. Trzeba dobrać coś innego.

Przez kilka minut zmieniała bukiet, dokładając i odejmując kwiaty. Oczy wszystkich obecnych z uwagą śledziły ruchy jej palców.

- A może coś takiego? Według mnie bukiet jest śliczny, niecodzienny i bardzo australijski. - Spojrzała na Bryna. - Jeśli panie go nie wezmą, zaproponujemy drugiej panie młodej. Poza tym zrobimy zdjęcie i wyślemy do Nowego Jorku... Przepraszam, zagalopowałam się. - Odwróciła się do pani McInerney. - Oczywiście rozumiem, że każdy ma inny gust.

- Zna pani wydawców czasopism kobiecych w Nowym Jorku? - zapytała pani McInerney ostrym tonem.

- Owszem. Pan Jasper chyba powiedział, gdzie pracuję, no i tam człowiek spotyka... Ale to nie ma nic do rzeczy, bo postanowiła pani skorzystać z usług Jobiera.

- Uśmiechnęła się uprzejmie. - Panie wybaczą, ale mamy dużo pracy, a skoro wybiera pani kogoś innego...

- Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji.

- Mamo, mnie się taki bukiet podoba - odezwała się jedna z druhen, uderzając podobna do matrony. - I chcę, żeby moje zdjęcie ukazało się w znanym czasopiśmie.

Decyzja zapadła.

Po wyjściu kapryśnej pani McInerney Bryn zatarł ręce i rzekł uradowany:

- Teraz Charles będzie miał z nimi przeprowadkę, ale on świetnie radzi sobie z kobietami. Gratuluję ci!

Sophie uśmiechnęła się do Louise.

- Tym babusom chodzi o rozgłos i dlatego wybrzydzą. Twój bukiet był uroczy.

- Dziękuję. Nigdy bym nie wpadła na to, żeby wkomponować typha domingensis w ślubny bukiet - przyznała się Louise. - Jeśli mam być szczerą, nie wiedziałam, co z tymi strąkami zrobić. Wendy je zamówiła, a moim zdaniem są brzydkie.

- Oddzielnie rzeczywiście są nieciekawe, ale w bukietach dobrze się prezentują. Kompozycja w foyer też zyska, jeśli kilka do niej dołożymy.

Bryn błogo się uśmiechnął i schwycił Sophie za rękę.

- Mogę na tobie polegać i dziękuję, że mnie uratowałaś. Jakiej pensji żądasz? Zapłacę każdą cenę.

Była ciekawa, czy rzeczywiście jest gotów to zrobić. Spojrzała mu w oczy i zawahała się. Poczwała się, jak gdyby zawisła w próżni, jakby na coś czekała.

- O pieniądzech porozmawiamy później. Teraz poproszę numery telefonów do panien młodych. Przejrzę listę i ustale, czym najpierw się zajmę.

- Zaplanujesz wszystko od dziś do stycznia?

- Tak. Potem musisz znaleźć kogoś na moje miejsce.

Pomyślała, że może praca będzie jej odpowiadała i sama zechce zostać, lecz wiedziała, że jeśli odbierze Brynowi milenijną parę, pokłóca się na śmierć i życie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Najpierw zmieniła niektóre kompozycje i zamówiła świeże kwiaty. Potem przejrzała listę par mających pobrać się w grudniu i skontaktowała się z tymi, których śluby wyznaczono na najbliższy tydzień. I wreszcie zadzwoniła do panny młodej, zapisanej na pierwszego stycznia.

Gdy zobaczyła jej nazwisko na liście, ogarnęło ją radosne podniecenie. Milenijna panna młoda nazywała się Claire Lleyton i była jej szkolną koleżanką, młodszą o dwa lata. Pamiętała jasnowłosą dziewczynkę o dobrym sercu, której nie przewróciło w głowie bogactwo rodziców. Rozumiała powody, dla których młoda para zdecydowała się na wesele w luksusowym ośrodku, lecz miała nadzieję, że Claire zmieni zdanie, gdy dowie się, jak ważny byłby jej ślub dla starego pastora.

Claire odebrała telefon, poznała głos Sophie i uradowana zawołała:

- Och, jak dobrze, że to ty zajmiesz się kwiatami dla nas. Czy znajdziesz czas, żeby przyjechać? Chciałabym porozmawiać i pokazać ci suknię.

Sophie bardzo odpowiadało, że będzie miała okazję poruszyć niezręczny temat na neutralnym gruncie.

- Oczywiście. Jutro wybieram się do Port Douglas, więc będę przejeżdżać koło ciebie i chętnie wpadnę.

Odwróciła się i drgnęła, gdy zobaczyła Bryna.

- Nie musisz aż tak się poświęcać - rzekł cicho. Mocno się zaczerwieniła i wyjąkała:

- Co... jak... dlaczego?

- Panna młoda mogłaby przyjechać tutaj.

- Ale ja nie mam ochoty być tu uwiązana przez cały miesiąc. Wolę trochę pojeździć.

- Masz samochód?

- Pożyczę od dziadka.

- Wobec tego otrzymasz dodatek na benzynę.

Uśmiechnął się, a Sophie zalała przytłaczająca fala wyrzutów sumienia. Pomyślała, że łatwiej przeprowadzić zdradziecki plan, gdy przeciwnik jest niemiły, a trudniej ograbić sympatycznego człowieka.

Bryn rzucił okiem na listę.

- Wesele panny Lleyton jest za kilka tygodni, więc nie ma pośpiechu.

Sophie opanowała się na tyle, że nie zadrżał jej głos, gdy powiedziała:

- To milenijny ślub, więc bardzo ważny. Ma być morze kwiatów i dlatego trzeba jak najwcześniej wysłać zamówienia.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, że przebiegł ją rozkoszny dreszcz.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego odnosisz sukcesy - rzekł z uznaniem. - Masz artystyczną duszę, żyłkę do interesów i bardzo sprawnie działasz. - W jego oczach błysnął podziw. - Na dodatek twoje talenty są w pięknym opakowaniu. Uważaj! Grozi ci, że cię nie zwolnię.

- Zwolnisz, zwolnisz - mruknęła speszona. - Założę się, że drugiego stycznia będziesz zadowolony, że mnie nie ma.

Popatrzył na nią poważnie, jakby chciał odczytać to, co kryje się za jej słowami.

- Wątpię. - Po chwili wahania dodał z niepewną miną: -Robi się późno, może zostaniesz na kolacji?

- Mam jeść razem z personelem? Dziękuję, muszę wracać do domu.

- Chciałem zaprosić cię na kolację w moim towarzystwie, a nie z personelem. Posiedzimy nad wodą, zjemy coś w restauracji, a potem cię odprowadzę.

Serce jej zadrżało, lecz przypomniała sobie, że knuje zdradziecki plan i musi mieć się na baczności wobec niebezpiecznie atrakcyjnego przeciwnika. Bała się, że ulegnie jego urokowi i wpadnie w czarującą pułapkę. Opanowała się i pokręciła głową. Czowała się wewnętrznie rozdygotana, lecz na zewnątrz zachowała spokój.

- Dziękuję. Przyjechałam, żeby dziadkowi dotrzymywać towarzystwa i już na pewno przygotowuje kolację. Wybacz, ale on jest na pierwszym miejscu.

- Masz dobre serce, czyli jesteś prawie ideałem. To niebywałe! - Rozbłyśły mu oczy. - Ale chyba pastor może odstąpić wnuczkę na jeden wieczór? Chciałbym cię lepiej poznać.

Pomyślała, że to niebezpieczne i najrozsądniej byłoby od razu zrezygnować z pracy i zerwać znajomość.

Spędziła niespokojną noc, ponieważ dręczyły ją przedziwne sny, a od samego rana stale miała przed oczyma uwodzicielski uśmiech Bryna. Powtarzała sobie, że musi zachować zimną krew, gdyż postanowiła go oszukać dla dobra dziadka i wobec tego bliższa znajomość jest wykluczona.

Dręczyły ją takie wyrzuty sumienia, że na progu imponującej rezydencji Lleytonów miała ochotę zawrócić. Powstrzymało ją poczucie obowiązku; wiedziała, że niezależnie od tego, gdzie odbędzie się ślub Claire, trzeba zamówić kwiaty i zaprojektować bukiety.

Claire otworzyła drzwi i objęła ją, jakby były serdecznymi przyjaciółkami.

- Witaj, Sophie. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to właśnie ty ułożysz kwiaty dla mnie. Wiesz, podziwiałam cię już w szkole. Ty i Joe byliście moimi ideałami.

- Joe i ja?

- Tak. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałam zbliżyć się do was. Zazdrościłam wam przyjaźni.

Sophie zdumiało to, że bogata jedynaczka mogła komukolwiek czegoś zazdrościć. Claire niewiele się zmieniła, nadal była ładną, impulsywną istotą. W szkole otaczał ją rój zamożnych koleżanek i kolegów, więc tym bardziej dziwne, że zauważyła dwoje starszych i znacznie biedniejszych uczniów. Nie tylko zauważyła, ale dobrze ich pamiętała.

- Jakże mogłabym zapomnieć, że zniszczyłaś moją najpiękniejszą suknię? - spytała Claire ze śmiechem.

- Miałam zaledwie dwanaście lat...

- A ja dziesięć i akurat wybrano mnie Miss Marlin Bluff. Byłam strasznie przejęta, ponieważ miałam zasiąść na złoconym tronie, a ten konflikt... Wiem, że powinnam stanąć po stronie Joego, ale...

- Byłaś małym dzieckiem.

- Mimo to wiedziałam, że nauczycielka okropnie postąpiła. Pamiętam wyraz twarzy Joego, gdy mu powiedziała, że nie zagra na kobzie, bo ludzie mogą się wystraszyć na widok jego blizny. Ty wybuchnęłaś gniewem i powiedziałaś, że wobec tego też nie wystąpisz. Pani Holdre uparła się jednak, żebyś ułożyła dla mnie kwiaty.

- Coś podobnego! Wszystko pamiętasz.

- Och, tak dobrze, jakby to było wczoraj. - Claire zaśmiała się perliście. - Miałam koronkową białą suknię i czułam się jak księżniczka. Chciałam zapomnieć, że ciebie i Joego nie ma, ale podeszłaś i wręczyłaś mi śliczny bukiet z lilii tygrysiach...

- Ja nie... - zaczęła Sophie, czerwona jak burak.

- Po co się wypierasz? Dobrze wiedziałaś, że z kwiatów posypie się brunatny pył. W mgnieniu oka cała zrobiłam się brązowa, a wy udawaliście niewiniątka i wszyscy uwierzyli, że nie słyszeliście o właściwości tych lilii.

- Zachowałam się parszywie, ale wściekłam się na panią Holdre - przyznała zawstydzona Sophie. - Potem było nam bardzo przykro. Wybaczysz nam?

- Przebaczyłam już dawno temu. Choćby dlatego, że pani Holdre wyglądała, jakby miała apopleksję i to było ciekawsze niż biała suknia. - Zarumieniła się lekko. - Prawdę powiedziawszy, musiałam was rozgrzeszyć, bo... podkochiwałam się w Joem.

- Coo?

- Wiem, że to głupie, ale tak było. Potem nigdy już nie zagrał na żadnych występach, więc często przekradałam się koło ich domu i słuchałam, jak ćwiczy. Raz nawet ośmieliłam się go poprosić, żeby poszedł ze mną na spacer, ale odmówił. Nie dorastałam mu do pięt.

- Myślę, że raczej chodziło o to, że byłaś za bogata jako towarzystwo dla nas - sprostowała Sophie. - Wiesz, że oni byli bardzo biedni, prawda? Joe na pewno wstydził się pokazać przy tobie. A w dodatku ta widoczna blizna... nadal jest uczulony na tym punkcie.

- Dlaczego? Nie zdaje sobie sprawy, jaki jest pociągający? Często śnił mi się jako szkocki kobziarz...

Sophie zorientowała się, że rozmowa zaszła za daleko.

- Po co się spotkałyśmy? Żeby wspominać, czy mówić o przyszłości?

- Och... - Claire niechętnie wróciła do rzeczywistości. - Muszę pamiętać, że jestem zaręczona. Tamto było dawno temu, a teraz mam wyjść za kogoś innego. No, chodź obejrzeć suknię.

Claire była drobna, miała jasną cerę, duże błękitne oczy i bujne kręcone włosy do ramion. Według Sophie najodpowiedniejsza dla niej byłaby suknia z miękkiego jedwabiu, prosta, długa, bez rękawów. A zamiast welonu, wianek z kremowych róż.

Kreacja, jaką zobaczyła, diametralnie różniła się od tego, co sobie wyobrażała. Suknia z bogato haftowanego atlasu była suto marszczona, z dużym dekoltem, długimi rękawami i złotym haftem na mankietach i w talii. Tren miał co najmniej dziesięć metrów, a welon był suto marszczony i długi.

Sophie zrobiło się żal, że będzie widać tylko suknię, a nie pannę młodą.

- Podoba ci się? - spytała Claire. - Colin ją dla mnie wybrał. I powinien być przy omawianiu kwiatów. Gdy się umawialiśmy, byłam pewna, że przyjedzie, ale musiał coś załatwić. Wiesz, krytykuje mnie i nazywa głuptasem, bo według niego wybieram rzeczy zbyt skromne.

Nie rozumiała, jak narzeczony może mówić ukochanej, że jest głupia. Popatrzyła na zmartwioną Claire i ogarnęło ją współczucie, ponieważ zaczęła podejrzewać, że nie jest szczęśliwa. Co to wszystko znaczy?

- Rodzice nie mogą ci pomóc?

- Nie ma ich od pół roku i przyłecą dopiero dzień przed weselem.

- Pomaga ci tylko narzeczony?

- Tak. Ojciec jest przekonany, że wychodzę za człowieka, który prędko robi karierę. - Zaczęła nerwowo chichotać. - Rodzice uważają, że jestem niedojrzała i tylko Colin pomoże mi wydorosnąć. Szkoda, że nie możesz go poznać, ale musiał pojechać do Cairns, żeby kupić jacht, którym popłyniemy w podróż poślubną. Rano przywiózł jakieś papiery i czek do podpisania, ale nie mógł zostać...

- Kupuje jacht za twoje pieniądze?

- Trzeba kupić na moje nazwisko. Tylko taka transakcja jest możliwa, bo dopiero po ślubie pieniądze będą wspólne. Nie mam nic przeciwko kupieniu jachtu, ale wolałabym...

Sophie zasepiła się, ponieważ intuicja podpowiadała jej, że Claire nie wychodzi za mąż z miłości.

- Masz zastrzeżenia, prawda?

- Tak. Bo widzisz, myślałam, że będziemy tylko we dwoje. Ale drużba przyleci ze swoją sympatią, a Colin twierdzi, że powinnam ich bliżej poznać. Mówi, że jeśli teraz kupi... kupimy jacht, będą mogli z nami popłynąć... i inni jego znajomi też.

- Bardzo romantyczne - mruknęła Sophie bez przekonania.

Pomyślała, że nie powinna wtrącać się w nie swoje sprawy.

Rick często powtarzał, że jej zadaniem jest układanie kwiatów, a nie życia bliźnich.

- Czemu chcesz wziąć ślub w ośrodku?

- Wcale nie chcę. To rodzice i Colin tak zdecydowali, bo zaprosili mnóstwo gości i chcą, żeby nasze wesele wszystkim zaimponowało.

- Rozumiem. A nie pomyślałaś, że ślub mógłby odbyć się w kościele, a przyjęcie weselne w ośrodku? Pamiętam, że chodziłaś do niedzielnej szkółki dziadka.

Na twarzy Claire pojawił się wyraz rezygnacji, świadczący o tym, że przyzwyczaiła się do ustępowania innym.

- Bardzo lubię nasz kościółek i twojego dziadka i dlatego zaraz po zaręczynach do niego zadzwoniłam i wstępnie się umówiłam. Potem okazało się, że Colinowi to nie odpowiada i rodzice go poparli...

- Aha.

- Zresztą kościół i tak ma być zamknięty. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Twojemu dziadkowi wszystko jedno, więc właściwie nie ma o co kruszyć kopii. Rodzina mi wmawia, że bujam w obłokach, więc chyba dobrze, że wychodzę za człowieka, który twardo stoi na ziemi. - Wzruszyła ramionami. - Wracaj ąc do kwiatów... może wolałabyś porozmawiać z Colinem niż ze mną?

- Powinniśmy porozmawiać we troje i... może wtedy przedyskutujemy również wszystko, co budzi wątpliwości.

Pożegnały się bez ustalenia, kiedy spotkają się w ośrodku. Sophie odjechała zmartwiona, a jednocześnie uspokojona, że na razie nie popsuka Brynowi planów i jeszcze może patrzeć mu prosto w oczy. Mogła cieszyć się tym, że jest sympatyczny, chociaż irytowało ją, że bez przerwy o nim myśli.

Podczas lunchu zaskoczyła pana Connella pytaniem:

- Dziadku, co słyhać u Claire?

- Claire Lleyton?

- Tak. To twoja dwutysięczna panna młoda, prawda?
- Już nie jest, bo bierze ślub w ośrodku. Nie ma o czym mówić.
- Ale chyba wiesz coś nowego o niej? Od naszych szkolnych czasów upłynęło sporo wody...

- Jest bardzo miła, ale bez charakteru. Chciała zostać pielęgniarką, lecz w rodzinie zaraz podniósł się krzyk, więc zrezygnowała. Matka chce z niej zrobić światową damę, a ona wbrew rodzicom trochę udziela się społecznie, bo to jej daje posmak wolności. - Innym tonem dorzucił: - Rodzice wyswatali ją z Colinem Draffusem.

- Który tobie się nie podoba?
- Jest nadętym i chciwym dorobkiewiczem bez skrupułów.
- O mój Boże!
- Nie mieszaj w to Pana Boga! - Pastor westchnął. - Claire nie widzi, a może woli nie widzieć, że przyszły mąż jest podobny do jej ojca. Niedawno odziedziczyła spory majątek po babce, a że Draffus jest współnikiem Lleytona, pieniądze zostaną w rodzinnej firmie.

- Czy ona sama ci powiedziała, że nie chce brać ślubu w kościele? - zapytała z wahaniem.

- Tak. To znaczy zadzwoniła, żeby się ze mną umówić, ale potem Draffus zdecydował, że ślub i wesele mają być w ośrodku, więc się wycofała.

- Czyli Bryn odebrał ci ślub.
- On nie miał z tym nic wspólnego, a ślub i tak nie był mój. - Starszy pan ze smutkiem pokręcił głową. - Moja rola skończona. Nie jestem już proboszczem parafii świętego Marka, bo kościół jako taki przestaje istnieć. Od dwóch lat wiedzieliśmy o tym, więc Jasper nie zawinił. Po prostu czasy się zmieniły, ludzie też i ten młody człowiek zaspokaja nowe potrzeby. A ja jestem zbędny.

- Dziadku...
- Zostawmy ten temat, proszę.

Wiadomości mocno ją zaniepokoiły i sprawiły, że miała ochotę ratować Claire przed niefortunnym małżeństwem. To miałyby jednak ten minus, że ukochany dziadek nie mógłby udzielić dwutysięcznego ślubu.

Wyjrzała przez okno i pomyślała, że w tak piękniej okolicy nikt nie powinien być nieszczęśliwy, więc może jednak Claire znajdzie szczęście u boku Draffusa.

Wróciła do pracy o drugiej i przez cztery godziny myślała wyłącznie o tym, by do godziny szóstej zdążyć przygotować wszystkie kwiaty. Układała ostatnie, gdy wszedł elegancko ubrany Bryn i jak poprzednio serce zaczęło jej mocniej bić. Zirytowana taką reakcją, powiedziała dość ostro:

- Czy tak się wystroiłeś, żebyśmy nie mogły prosić cię o pomoc?
- Tylko i wyłącznie. Zresztą widzę, że wszystko gotowe. Wiesz, nigdy nie mieliśmy takich pięknych kompozycji.

Poczuła, że się rumieni i speszona wyjąkała:

- O, dz...dziękuję.
- Fotograf z Cairns najpierw oniemiał, a potem wyśpiewał hymn pochwalny. Twierdzi, że w życiu nie widział tak oryginalnych bukietów.

- Zawsze najbardziej dopisuje mi fantazja, gdy mam nóż na gardle. Już kończymy, więc niech ktoś rozwiesi te girlandy. Gdzie chce i jak chce.

- Jest ci wszystko jedno?
- Moim zadaniem jest układanie kwiatów, a jeśli chodzi o te girlandy...
- Nie podobają ci się?
- Ani trochę, ale klient nasz pan. Życzy sobie różowe róże, to zrobiłam, chociaż wszystko jest w brzoje i złocie.

Bryn błysnął zębami w uśmiechu i zapytał ciszej:

- Co teraz robisz? Wracasz do domu?
- Chyba już nie jestem potrzebna, prawda?
- Nie, ale...
- Ale co?
- Zastanawiałem się, czy w taki piękny wieczór dasz się zaprosić na kolację. Wiem, że wolisz towarzystwo swego dziadka, ale podobno pastor chodzi spać o dziewiątej. Ja do tej godziny jestem zajęty, bo mistrz ceremonii się rozchorował, ale potem będę wolny. Przyjdiesz? - spytał z niepewną miną.

Zgodziła się, nim pomyślała, co robi.

- O dziewiątej mogę się ulotnić - rzekł uradowany. - Przyjdź do pawilonu z lewej strony basenu. Proszę.

- Dobrze - obiecała, dziwiąc się samej sobie. - Z przyjemnością przyjdę.

Miała jeden niezawodny strój na wszystkie okazje. Była to suknia z surowego perłowego jedwabiu, bez rękawów, z małym kołnierzykiem, zarazem elegancka i skromna. Ubierała się w nią, gdy nie była pewna, jaki strój obowiązuje.

Wyszła z domu przed dziewiątą i doszła do plaży, gdy z ciemności wyłoniły się trzy cienie i usłyszała:

- Sophie, to ja.

Joe strzelił palcami i Marty i Goggle posłusznie usiadły.

- Bryn sądził, że pójdziesz plażę, więc prosił, żebym ci towarzyszył.
- A po co psy? Żeby mnie pogryzły?
- Zawsze o tej porze je wyprowadzam i na ogół chodzimy po plaży.

Strzelił palcami i psy posłusznie ruszyły za nim.

- Ty z nimi chodzisz? Myślałam, że to psy Bryna.
- Należą do niego, ale on tu rzadko bywa.
- Jak rzadko?
- Spędza tu co pół roku jeden miesiąc, a to za krótko, żeby wytresować psy.
- Więc po co je kupił?
- Pewnie z tego samego powodu, z jakiego uwodzi kobiety. Nie chce się

angażować, ale pragnie odrobiny uczucia.

- Czy to ma być ostrzeżenie?
- Może... Lepiej uważaj, bo w jego przeszłości są mroczne cienie.
- Jakie?
- Nie wiem. Krąży plotka, że przeżył jakąś straszną tragedię i dlatego trzyma kobiety na dystans, ale one tym bardziej lgną do niego. Jest niebezpieczny.

- A ja jestem dorosła, chociaż tobie wciąż się wydaje, że jestem podlotkiem z mysimi ogonkami. Może jako dziecko byłam bezradna...

- Nigdy nie byłaś bezradna. Nie znam bardziej despotycznej, upartej...
- Nie jestem w twoim typie, co? - przerwała mu ze szczerym śmiechem.
- Przykro mi, ale nie za bardzo.
- Więc kto jest w twoim guście? Masz sympatię?

Zapadła cisza. Krępująca cisza.

- Przepraszam - szepnęła zażenowana. - Nie chciałam być wścibska.
- Nie jesteś i na ogół mi nie przeszkadza...
- Co?

- Że nikogo nie mam. - Podniósł kawałek drewna i rzucił do wody, więc psy pobiegły jak szalone. - Jaka kobieta umówi się na randkę z facetem z taką gębą?

- Twoja blizna jest interesująca i ja bym się z tobą umówiła.
- Może, ale ty zawsze byłaś inna.
- Czegoś mi brak?
- Nie wiem. I właściwie nie rozumiem, czemu cię ostrzegam przed Brynem... -

zawiesił głos.

- Kto jest twoim ideałem?
- Marzę o kobiecie łagodnej, troskliwej i pulchnej, gdzie trzeba, ale taka nie istnieje. - Zaśmiał się gorzko. - Te, które znam, albo są przemądrzałe, czego nie lubię, albo uciekają przede mną, gdzie pieprz rośnie.

- Ale szukasz wymarzonej istoty, prawda? - Wzięła go za rękę. - Szukaj wytrwale, bo ona na pewno istnieje. Podobnie, jak i mój ideał. Może księżę przyjedzie do mnie na białym rumaku...

- Tylko, żeby to nie był uwodziciel, który teraz zastawia na ciebie sidła w ośrodku.

- Joe!

- Nie krzycz. - Gwizdnął na psy. - Powiedziałem to, co chciałem i więcej razy nie będę się wtrącał. Chcesz pogmatwać sobie życie, twoja sprawa.

- Nie pogmatwam.

- Jeśli zadurzysz się w Brynie, on to zrobi za ciebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rozstali się na skraju ośrodka.

- Gdy jest dużo osób, nie pozwalam psom podchodzić do pawilonów - wyjaśnił Joe. - One chętnie by się pobawiły, ale goście chyba nie byliby zachwyceni. Dobranoc.

Sophie roześmiała się, pożegnała go i dalej poszła sama.

W ciszy słychać było szum oceanu. Pod granatowym, wygwieżdżonym niebem udekorowany ośrodek wyglądał bajkowo. Musiała przyznać, że jest piękny, a mimo to uważała, że kościół ma więcej uroku i że Claire tam powinna wziąć ślub. Najlepiej zaś byłoby, gdyby nie musiała wychodzić za Draffusa i poczekała, aż znajdzie idealnego męża.

Zajrzała do pierwszego z brzegu pawilonu, skrzywiła się z niesmakiem na widok krzeseł ozdobionych girlandami z różanych pąków i czym prędzej wyszła.

Dotarła do weselnego pawilonu, w chwili gdy ojciec panny młodej wstał, aby powiedzieć kilka słów i wznieść toast. Pan McInerney był niski, gruby i niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Ręka z kieliszkiem tak mu drżała, że oblał się szampanem.

- Panie i panowie - rzekł słabym głosem. - Panowie...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, ponieważ zaczął się chwiać i osuwać na podłogę. Na szczęście dla niego Bryn był w pobliżu, zdążył podbiec i go schwycić. Trzymając go, stanął przed mikrofonem. Wszyscy wpatrywali się w niego, łącznie z Sophie, która zastanawiała się, jak wybrnie z kłopotliwej sytuacji.

Pani McInerney, w szkarłatnej sukni z pękiem róż przy obfitym biuście, wstała z miejsca.

- Nie stało się nic szczególnego i ja zajmę się pani mężem - powiedział Bryn półgłosem.

Położył pana McInemeya na podłodze, wyjął mu z ręki kartkę papieru, przebiegł ją oczyma, poprawił mikrofon i zaczął mówić:

- Panie i panowie. Pan Henry McInerney upoważnił mnie, bym przeprosił państwa za jego drobną... - zerknął na leżącego -...niedyspozycję. Ślub córki to wydarzenie, które u wielu rodziców powoduje bardzo duże napięcie. Niektórzy ojcowie tego nie wytrzymują. Pan McInerney zanotował myśli, którymi chciał się z państwem podzielić, więc pozwolą państwo, że je przekażę w jego imieniu.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby chciał dodać, że to, co się stało, jest najzupełniej normalne, że ojcowie często mdleją na weselu córek.

Dzięki jego przytomności umysłu obyło się bez skandalu. Mówił tak, jakby wcześniej nauczył się tekstu na pamięć. Sophie podziwiała go za to, że potrafi z luźnych zapewne notatek wygłosić stosowną mowę.

Goście słuchali go, raz po raz wybuchając śmiechem i ukradkiem ocierając łzy wzruszenia. W imieniu pana Mcinemeya mówił o miłości panującej w jego rodzinie, o tym, że córka wychodzi za szlachetnego człowieka, wspominał o starych i nowych znajomych, opowiedział kilka dowcipów. Wygłosił wiele miłych słów pod adresem pani McInerney, która w związku z tym nie mogła gniewać się na męża.

Przez cały czas Bryn sprawiał wrażenie, że korzysta z notatek, a gdy umilkł, panna młoda podeszła do nieprzytomnego ojca i go ucałowała.

- Tatusiu, nie wiedziałam, że potrafisz tak pięknie mówić - rzekła drżącym głosem. - Tatko kochany...

Nawet Sophie się wzruszyła. Talent Bryna przyjemnie ją zaskoczył, gdyż nigdy dotąd nie spotkała tak uzdolnionego mężczyzny. Gdy wychodzili, cicho zapytała:

- Czy jej ojciec by tak samo mówił?

Bryn podarł kartkę na drobne kawałki, wzruszył ramionami i odparł:

- Kto wie? Z jego gryzmołów udało mi się odczytać jedynie kilka imion i nazwisk.

- Czyli improwizowałeś! Panna młoda powinna była ciebie ucałować.

- Dziękuję za taką przyjemność! - Rozwiązał krawat i rozpiął koszulę, więc wyglądał swobodnie i... bardziej pociągająco. Oczy mu tak rozbłyły, że Sophie poczuła żywsze bicie serca, szczególnie gdy szepnął: - Mówiłaś coś o całowaniu...

- Głośno natomiast powiedział: - Dan, bądź tak dobry i zanieś nam szampana i czekoladę nad basen.

Wziął Sophie za rękę, a wtedy przypomniała sobie ostrzeżenia Joego.

Olbrzymi basen był podświetlony turkusowymi światełkami, rozświetlającymi mrok. Z hotelu dobiegała miła dla ucha muzyka, która zlewała się z szumem oceanu. Na jednym ze stolików leżał śnieżnobiały obrus i stały dwa kryształowe kieliszki, a obok stolika były dwa równoległe ustawione leżaki.

Sophie pomyślała, że jest to idealna sceneria do uwodzenia, więc mruknęła z wyrzutem:

- Zręcznie to urządziłeś.

- Lubię być odpowiednio przygotowany.

- Właśnie widzę!

W głowie czuła pustkę i nie wiedziała, o czym rozmawiać. Bryn patrzył na nią takim wzrokiem, że zrobiło się jej gorąco, wobec czego zdjęła sandały i weszła do wody.

Nieopodal była wysepka dla dzieci i na piasku leżało wiaderko oraz łopatka. Podniosła wiaderko, zajrzała do środka i odwróciła się, by pokazać zawartość Brynowi. Dostrzegła półuśmiech na jego ustach oraz dziwny wyraz w oczach i momentalnie zapomniała o wiaderku. Aby coś powiedzieć, zapytała:

- Czy ty... jesteś właścicielem... tego wszystkiego?
- Tylko głównym udziałowcem.
- Czyli pięćdziesiąt jeden procent należy do ciebie?
- Coś koło tego.
- Ile masz takich hoteli?
- Sześć. Na wszystkich kontynentach.

Rozumiem. - Uśmiechnęła się, chociaż zrobiło się jej smutno, ponieważ owa informacja oznaczała, że Bryn jest nie dla niej. - A właściwie nie rozumiem. Nie potrafię sobie wyobrazić, co człowiek czuje, gdy dysponuje takim majątkiem.

- I ma tylu pracowników - dodał poważnie. - To nie jest łatwe życie.
- Nie lubisz zatrudniać ludzi?
- Nie lubię zwalniać. - Podejrzenie rozbłysły mu oczy. -Znasz osobę, którą zatrudniłem z największą ochotą.

Sophie przeklinała go w duchu za to, że ją uwodzi oczyma, podczas gdy ona stara się trzymać konkretów.

- Ale jeśli przestanę we wszystkim się z tobą zgadzać, natychmiast mnie wyrzucisz, prawda?
- Przecież i tak chcesz odejść. W styczniu polecisz do Nowego Jorku bez oglądania się na mnie.
- Tam też masz hotel? - zapytała bez namysłu i zaczerwieniła się ze wstydu.

W tym momencie Dan przyniósł butelkę szampana i wiaderko z lodem. Spojrzał na nich, uśmiechnął się uprzejmie i odszedł bez słowa.

- Nie. - Bryn zaśmiał się i położył na leżaku. - Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym miał. Chcesz, żebym kupił hotel w Nowym Jorku?

Sophie nie zdarzyło się dotąd, by ją ktoś uwodził, proponując kupno hotelu. Udała, że się namyśla, ale czuła, że traci głowę. Wolała nie wychodzić z wody, ponieważ uważała, że z dala od Bryna jest bezpieczniejsza.

- Po to, żebyś mnie mógł odwiedzać raz na pół roku? - zapytała lekko drżącym głosem. - Tak samo jak psy tutaj?
- Ależ...
- Dobrze wiesz, że nie powinieneś kupować tych dogów - dorzuciła mentorskim tonem.

- Może nie, ale czasem ulegam kaprysom. - Błysnął zębami w zniewalającym uśmiechu. - Matka orzekła, że muszę mieć coś, co można kochać, więc kupiłem sobie psy. Są pod dobrą opieką, bo Joe bardzo się do nich przywiązał, a one przy nim idealnie się sprawują. Chodź tu usiąść.

- Czy wszystkie obowiązki zrzucasz na innych?

- Jeśli mogę... Ale co właściwie masz na myśli, mówiąc o moich obowiązkach? Chodzi ci o ludzi, których wyrzucam z pracy? Zapewniam cię, że nigdy nie robię tego bez głębokiego zastanowienia.

- Zbiłeś wielki majątek, więc na pewno jesteś bezwzględny.

- Na początku musiałem być. Mój ojciec...

- Wiem. Prowadził „La Ville” na Lazurowym Wybrzeżu. Ale ty zaszedłeś dużo dalej.

- Bo nie lubię stać w miejscu.

- I nigdy nigdzie nie osiadziesz? Nie masz czasu...

- Na obowiązki? - dokończył rozbawiony. - Wyczuwam naganę w twoim głosie. Mam zostać tutaj i zająć się tresowaniem psów?

- Powinieneś, jeśli chcesz, żeby się do ciebie przywiązały. Na razie uznają tylko Joego.

- To dobrze, bo jemu bardziej niż mnie potrzebne jest czyjeś przywiązanie. Chodź tutaj.

Nie ruszyła się z miejsca i grzebiąc palcem w piasku, zadała dręczące ją pytanie:

- Czy uśmiech Dana znaczył, że jutro będą plotkować o nas w całym ośrodku?

- Nie.

- Przywykł już do tego, że uwodzisz jedną kobietę po drugiej?

- Oj, marudzisz. - Bryn wstał. - Dlaczego stoisz w wodzie, gdy szampan czeka na stoliku?

- Bo niezbyt podoba mi się scena zaczerpnięta z poradnika uwodziciela - rzuciła ostrym tonem. - Mam wrażenie, że powtarzasz to samo setny raz.

- Sophie! - wycedził zirytowany.

Ów okrzyk stanowił najlepszy dowód, że trafiła w sedno.

- Chyba wrócę do domu. Nie przyszłam po to, żebyś mnie uwodził.

- Więc czemu przyszłaś?

Wszystko robiła wyłącznie po to, aby odebrać mu ten jeden ślub, lecz do tego nie mogła się przyznać.

- Bo zaprosiłeś mnie na kolację - odparła z ociąganiem. - Nie znaczy to jednak, że rzucę ci się w ramiona.

- Nie chcesz, żebym cię pocałował?

Miała na to ogromną ochotę, więc popatrzyła na niego bez słowa. Bała się, że gdy poczuje jego usta na swoich, straci panowanie nad sobą. Już częściowo je straciła i dlatego chwilami zapominała, że jest w ośrodku ze względu na dziadka.

- Sophie...

Wymówił jej imię tak pieszczotliwie, że zadrżała. Czym prędzej pomyślała o dziadku, któremu wszystko zawdzięczała. Jej rodzice zginęli, gdy ona i Elie były malutkie, więc dziadek zajął się nimi. Pastor Connell miał szansę otrzymać mitrę biskupią, lecz po śmierci córki pozostał jako proboszcz w Marlin Bluff. Nigdy ani słowem nie wypomniął wnuczkom, że się dla nich poświęcił.

Sophie wiedziała, że dla dziadka najlepszym zakończeniem długoletniej pracy duszpasterskiej byłoby udzielenie ślubu pierwszego stycznia. Z całego serca pragnęła mu pomóc, lecz Bryn nieświadomie jej w tym przeszkadzał. Miała wrażenie, że w jego oczach dostrzega prawdziwą sympatię, co powodowało coraz większe rozdygotanie nerwów.

Bryn dostrzegł, że na jej twarzy malują się sprzeczne uczucia, więc łagodnie zapytał:

- Co ci jest?

- Nie wiem...

- Chcesz, żebym cię pocałował?

- Nie... Tak... Tego też nie wiem... - Urwała przestraszona, ponieważ zrzucił sandały i wszedł do wody. - Proszę cię, bo nie chcę...

- Ale ja bardzo chcę - rzekł przytłumionym głosem. - Marzę o tym, od chwili gdy cię ujrzałem. Jeśli naprawdę nie życzysz sobie, żebym cię pocałował, musisz mi dać bardzo stanowczą odpowiedź...

Sophie przyszedł do głowy tylko jeden sposób; zamachnęła się i oblała go tym, co było w wiaderku. Bryn cofnął się z obrzydzeniem, ponieważ wiaderko pełne było meduz, które w ciągu dnia, na słońcu, zaczęły się rozkładać. Cuchnąca, galaretowata maź oblepiła mu twarz i powoli ściekała na koszulę.

- Przepraszam.

Bała się, że wybuchnie śmiechem, więc zakryła usta dłonią, aby nie zauważył, że podejrzenie drgają.

Bryn zerknął na gors koszuli i rzekł spokojnie:

- Jeśli zaczniesz się śmiać...

- Wylecę z pracy, tak? - Nie wytrzymała i zaczęła chichotać. - Sam jesteś winien, bo powiedziałeś, że mam dać zdecydowaną odpowiedź.

- Stanowcze „nie” najzupełniej by wystarczyło. - Otarł twarz i z niesmakiem popatrzył na rękę. - Intryguje mnie, dlaczego nie odpowiedziałaś jednym słowem.

- Bo...

Gdy postąpił dwa kroki w jej stronę, krzyknęła przestraszona i uciekła w głąb basenu. Poczowała, że woda przyjemnie chłodzi rozgorączkowane ciało, więc nie bacząc na to, że jest w najlepszej sukni, zanurkowała i przepłynęła kilkanaście metrów pod wodą, wynurzyła się i szybko płynęła, aby znaleźć się jak najdalej od Bryna. Była pewna, że nie będzie jej ścigał.

Tymczasem dogonił ją, i to zaskakująco prędko. Zrównał się z nią już przy trzecim mostku i kilkadziesiąt metrów przepłynęli równolegle, jak zawodnicy na mistrzostwach. Potem tak manewrował, że zmusił ją, by skierowała się ku brzegowi. W końcu znaleźli się na płyciźnie, więc chciała wstać, ale złapał ją za rękę i bezceremonialnie wciągnął z powrotem do wody.

- Zacznę krzyczeć - ostrzegła - i wszyscy przylecą zobaczyć, co się dzieje.

- Nie przestraszysz mnie. - Objął ją wpeł. - Obrzuciłaś szefa meduzami i grozisz, że będziesz wrzeszczeć. Czy to naprawdę znaczy, że nie chcesz, żebym cię pocałował?

- Bryn...

- Moje imię nie oznacza „nie”, tak samo jak meduzy. - Uśmiechnął się przewrotnie. - Piękna pani, daję ci ostatnią szansę. Jeśli naprawdę odmawiasz, wyraźnie powiedz „nie”.

Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie rozumiała, co się z nią dzieje, ponieważ nigdy tak nie reagowała. Dotychczas zawsze, w każdej sytuacji, znajdowała celną ripostę, a przy Brynie traciła przytomność umysłu. Nie wiedziała, dlaczego nie potrafi oprzeć się jego urokowi. Zamiast powiedzieć „nie”, cienkim głosem szepnęła:

- Bryn...

- Słucham? - W jego oczach czaił się śmiech, ale spytał zupełnie poważnie: - Żałujesz, że oblałaś mnie lepkiem paskudztwem? - Ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. - Ten wybryk nie ujdzie ci płazem. No, czekam na odpowiedź.

Przemogła się i zamiast przeprosin, wykrztusiła zbawcze słowo:

- Nie.

- Tego się spodziewałem. - Przyciągnął ją bliżej, tak że teraz oboje siedzieli w wodzie po pas. - Już trochę cię poznałem i wiem, że jesteś nieobliczalna, przewrotna, masz trudny charakter. Jeśli cię puszcę, pewno znowu przyjdzie ci do głowy jakiś szalony pomysł, co?

- Może.

Siedząc u jego boku, czuła się doskonale, jakby ożyła i na coś czekała.

- Czyli nie mam wyboru. Nie puszcę cię, zanim nie wymierzę stosownej kary.

Długo patrzył na nią z zagadkowym wyrazem twarzy, a potem delikatnie i czule pocałował w usta. Pocałunek był niewyobrażalnie słodki. Sophie przemknęła myśl, że nikt jej tak nie całował i ogarnęło ją niejasne uczucie, że jedno zetknięcie się ich ust odmieni ją samą i jej życie, więc odtąd wszystko będzie inaczej. Pocałunki i delikatne pieszczoty sprawiły, że serce zaczęło jej dziwnie trzepotać, a ciało mięknąć niby wosk. Miała wrażenie, że oboje bardzo pragną tego samego i że w związku z tym stanowią jedność.

Blogie wrażenie niestety minęło, ponieważ Bryn nagle uniósł głowę i gwałtownie się odsunął. Siedziała z otwartymi ustami i nieprzytomnym wzrokiem patrzyła na człowieka, który całował ją, jak gdyby się w niej zakochał, co przecież było niemożliwe. Za późno pożałowała, że jest nieopanowana i dała się unieść fali rozkosznych, ale nierozsądnych uczuć.

Bryn, właściciel pięknego, nowoczesnego ośrodka w Marlin Bluff oraz kilku innych hoteli, był nieosiągalny dla niej. Nie miała nic wspólnego z posiadaczem milionowego majątku, z szeroko znanym amantem, którego zdjęcia widywała w wielu gazetach i czasopismach dla kobiet.

Znała go i dużo o nim wiedziała, ponieważ zachłannie czytała wszystko, co o nim pisano i zazdrosnym okiem oglądała jego fotografie z pięknymi kobietami. Teraz sama pozwoliła się całować i zanosilo się na to, że będzie jego kolejną zdobyczą.

Zdawała sobie sprawę, że powinna coś zrobić, aby nie cierpieć po nieuniknionym rozstaniu. Gorączkowo myślała, jak przerwać zwodniczy czar i odejść, póki nie jest za późno. Czuła, że jeśli zostaną kochankami, szansa na ratunek przepadnie z kretesem.

Miała wyrazistą twarz, na której malowały się wszystkie uczucia, więc Bryn patrzył na nią zaintrygowany.

- Co się z tobą dzieje?

Delikatnie ją objął i znowu pocałował, lecz tym razem nie oddała pocałunku.

- Przestań! Nie chcę!

Udało się jej odsunąć od niego i usiąść nieco dalej. Starła się znaleźć słowa, którymi mogłaby wyjaśnić to, co najtrudniej wytłumaczyć.

Odetchnęła z ulgą, gdy zauważyła, że do basenu podchodzi Dan. Kelner dostrzegł parę, siedzącą w wodzie, lecz, tak jak poprzednio, zachował obojętną twarz. Sophie zdziwiło, że ich znalazł, mimo że byli dość daleko od stolika, który dla nich nakrył. Wystraszyła się, że inni też widzieli pocałunki.

Pocieszyła się myślą, że być może nikt nic nie widział, ponieważ już przyzwyczajono się do tego, że Jasper uwodzi każdą ładną kobietę i przestano się nim interesować. Z wyrazu twarzy kelnera nie mogła odgadnąć, czy wszystko widział.

- Pani Connell - odezwał się Dan obojętnym tonem - przepraszam, ale jest telefon z Nowego Jorku. Pan Rick Hastings chce z panią rozmawiać.

- Rick? - Nie od razu zrozumiała, o kogo chodzi. - Co... jak mnie znalazł?

- Zadzwoił do pana Connella i od niego otrzymał nasz numer. - Spojrzał na Bryna, potem znowu na Sophie i jakby nieznacznie się uśmiechnął. - Pan Hastings stanowczo domagał się, by panią zawołać i dlatego ośmieliłem się państwu przeszkodzić. Jeśli zechce pani rozmawiać, telefon jest tam, pierwsze drzwi na lewo.

- Już idę. - Chwiejnie wstała. - Dziękuję.

- Rick? Kto to? - zapytał Bryn.

- Już ci mówiłam. - Przyszła jej do głowy pierwszorzędna myśl, więc dodała: - Mój... partner. Chyba teraz rozumiesz, że nie mogę dać się uwieść. Dziękuję za przyjemne wyścigi w wodzie, a za meduzy przepraszam. Odbiorę telefon i wracam do domu.

Świadoma tego, że Bryn bacznie ją obserwuje, wzięła słuchawkę, uśmiechnęła się czarująco i powiedziała:

- Witaj, Rick...

- Sophie? To ty?

- A ktośby inny? Co się stało?

- Wczoraj umarła pani Mabel Fortingue.

- Fortingue... - Rick dzwonił z innej półkuli, jakby z innego świata, więc z trudem przypomniała sobie, o kogo chodzi. - Aha, pamiętam. Żona Teda Fortingue, który zmarł w ubiegłym roku. Chyba miała ponad czterdzieści lat, więc należało się tego spodziewać. To nie tragedia.

- Prawie. Pamiętasz, jak udekorowałaś trumnę jej męża?

- Tak. - Opanowała się i zdusiła niewczesny śmiech. -Przykryłam całą kwiatami, a nad głową dodatkowo ułożyłam z nieśmiertelników jego imię.

- Wyobraź sobie, że zmarła chciała mieć tak samo przystrojoną trumnę. A może tylko jej krewni tego chcą. W każdym razie twierdzą, że pięknie to zrobiłaś. Teraz trumna też ma być cała zakryta, imię zmarłej wyraźne, a jeszcze z boku Wzór naszej flagi.

- Nadzwyczajne zamówienie. - Tym razem nie zdołała się opanować i wybuchnęła śmiechem. - Gratuluję.

- Sophie! Nie żartuj!

- Jestem pewna, że doskonale z tego wybrniesz.

- Wracaj, błagam.

- Nie mogę przed pierwszym. - Uśmiechnęła się promiennie i lekko odwróciła, aby Bryn to widział. - Trochę praktyki dobrze ci zrobi, bo dotychczas wymigiwałeś się

od pogrzebów. Jestem więcej niż pewna, że przystroisz trumnę lepiej niż ja. Będę myśleć o tobie i trzymać kciuki. Do usłyszenia.

Odłożyła słuchawkę i zrobiło się jej trochę żal współnika. Gdyby była na miejscu, Rick jak zwykle zrzuciłby niewdzięczne zadanie na jej barki. Cieszyła się, że jest za siedmioma górami i siedmioma morzami i obsługuje wesela.

Spojrzała na Bryna i serce jej drgnęło. Wcale nie wyglądał na bezdusznego uwodziciela. Miał zdziwiony wyraz twarzy, a w oczach nieśmiałe pytanie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po źle przespanej nocy nie miała ochoty iść do ośrodka, ale nie posłuchała głosu rozsądku, podpowiadającego jej, że powinna wrócić do Nowego Jorku i zająć się układaniem wieńców. Zdecydowała się zostać głównie ze względu na dziadka, który na każdym kroku okazywał szczere zadowolenie, że są razem.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś, zanim opuszczę moje probostwo na zawsze - wyznał stary pastor podczas śniadania. - Nawet nie wiesz, jak wielką przyjemność sprawia mi twoje towarzystwo.

- Co tu będzie, gdy się wyprowadzisz?

- Jeszcze nie wiadomo.

Sophie wiedziała, co siostra postanowiła, ale czuła, że dziadek ma jakieś zastrzeżenia, chociaż właściwie nie było innego wyjścia. Pan Connell nie chciał rozstać się ze swymi psami, lecz Ellie mieszkała na peryferiach Port Douglas i niedaleko jej domu znajdował się pusty teren. Tam można będzie o każdej porze wyprowadzać psy na spacer.

- W styczniu jest aukcja - podjął pastor ze smutkiem. - Myślę, że niepotrzebnie, bo i tak całość zostanie przyłączona do ośrodka.

- Skąd ta pewność? Skoro jest aukcja...

- Jasper wszystko wykupi. Posiada już szmat ziemi naokoło, a nikt nie jest w stanie go przelicytować.

- Czemu nie kupuje już teraz?

- Bo to człowiek interesu i wie, że potem zapłaci mniej. Przed aukcją cena jest dużo wyższa.

Sophie zrobiło się przykro, że Bryn jest taki bezwzględny i wyrachowany. Negatywne nastawienie do niego miało ten plus, że ją trochę uodporniło na jego magnetyczny urok.

Dwie godziny później ustawiała kompozycje kwiatowe w foyer, gdy nadszedł w towarzystwie dwóch Chińczyków.

- Dzień dobry, Sophie. Po wczorajszym przymusowym pływaniu skurczyły mi się spodnie i w dodatku czuć je zdechłą rybą, więc chyba potrączę ci coś z pensji.

- A ja podam cię do sądu za molestowanie seksualne. - Zeszła z drabiny i uśmiechnęła się promiennie, jak gdyby rozmawiała o czymś przyjemnym. - Uwodzisz pracownicę, próbujesz niewinną istotę spoić alkoholem...

- Ty i niewinna istota! Przez ciebie wciąż w płucach mam lepkaż i mogę się udusić.

- Nie ma obawy, przeżyjesz. Czy przedstawiś mnie tym dżentelmenom? A może nie masz w zwyczaju przedstawiać pracowników?

Bryn zirytował się, ponieważ nawet o tym nie pomyślał. Opanował się jednak i rzekł:

- Mogę dokonać prezentacji, ale ci panowie nie znają angielskiego. Mówisz po chińsku?

Popatrzyła na niego z wyższością, a na Chińczyków z uprzejmym uśmiechem i rzekła swobodnie:

- Nimen hao. Huan ying Ao da li ya.

Cudzoziemcy rozpromienili się, ponieważ powiedziała im, w ich języku, że są mile widzianymi gośćmi.

- Zna pani chiński? - zapytał starszy z nich.

- Tylko trochę. Mam wielu znajomych z Chin.

- Pani tutaj pracuje, prawda? - Zawahał się na mgnienie oka. - Czy zrobi nam pani zaszczyt i przyjmie zaproszenie na lunch? Oprócz pana Jaspera nikt nie zna naszego trudnego języka.

- To ja czuję się zaszczycona - odpowiedziała, nie patrząc na Bryna. - Też odczuwam brak towarzystwa, bo kilka dni temu przyjechałam ze Stanów i nie mam tu znajomych. Nazywam się Sophie Connell.

- No wiesz... - wtrącił się Bryn.

- Wybacz. - Przeszła na angielski. - Jestem bardzo zajęta, więc żegnam. Do spotkania przed pierwszą.

- Ja już się umówiłem - mruknął tonem, nie wróżącym nic dobrego. - Będziesz z panami sama.

- Jeszcze lepiej. - Odwróciła się do gości i powiedziała po chińsku: - Pan Jasper nie może nam towarzyszyć, więc zjemy lunch bez niego.

Po odejściu mężczyzn przyniosła sobie filiżankę mocnej kawy i wróciła do przerwanej pracy.

Bryn zamierzał przeprowadzić z Chińczykami rozmowy na temat opłat za cztery zjazdy, mające odbyć się w jego ośrodku w przyszłym roku. Należało spokojnie omówić warunki pobytu delegatów, głównie sprawy finansowe, a tymczasem czuł się porytowany, ponieważ głowę zaprzętały mu myśli o Sophie. O zadziwiającej kobiecie; pięknej, dowcipnej, wykształconej, która zaimponowała mu, gdy rozmawiała po chińsku z prawie idealnym akcentem.

Starał się pamiętać, że jest związana z jakimś Rickiem i że ma wiele wad: jest niepoważna, pyskata, no i, rzuciła w niego meduzami, mimo że jako podwładna powinna traktować go z szacunkiem.

Niepokoilo go, że wzbudza w nim uczucia, na jakie nie miał czasu. Od dawna powtarzał sobie, że w jego życiu nigdy więcej nie będzie miejsca dla kobiety. Gdyby pokochał Sophie, byłaby to zdrada i otworzyłyby się stare rany.

Poza tym wyznawał zasadę, że przełożony nie powinien uczuciowo wiązać się z podwładnymi.

Tyle że Sophie nie była zwykłą pracownicą.

Punktualnie o jedenastej zjawila się Claire z narzeczonym. Draffus wzbudził w Sophie antypatię od pierwszego wejrzenia, gdyż przyjechał w garniturze i kamizelce, a według niej człowiek tak ubrany przy ponad trzydziestostopniowym upale był podejrzany. Poza tym zachowywał się niemal arogancko i traktował narzeczoną z góry.

Na podstawie tego, co usłyszała od Claire i dziadka, Sophie wyrobiła sobie określone zdanie o Draffusie i odpowiednio przygotowała się do spotkania. Przebrała się w doskonale skrojony czerwony kostium, który podkreślał jej zgrabną figurę. Niesforne loki starannie uczesała, oczy i usta dyskretnie pomalowała. Na nogach miała bardzo niewygodne, ale eleganckie pantofle na wysokich obcasach.

Postanowiła wyrzucić dodatnie wrażenie na narzeczonym Claire i osiągnęła swój cel. Na jej widok Draffusowi oczy niemal wyszły z orbit. Claire niczego nie zauważyła, ponieważ w obecności narzeczonego była przygaszona.

Sophie powitała ich najuprzejmiej, jak umiała. Draffus mówił za Claire i za siebie przez bity kwadrans, nim dopuścił Sophie do głosu.

- Pokażę państwu albumy ze zdjęciami - powiedziała lekko zniecierpliwiona - bo czasami podsuwają dobre pomysły.

Zdjęcia pochodziły z najbardziej prestiżowych uroczystości, na jakie przygotowała kwiatową oprawę, a albumy były tak pomyślane i fotografie tak skomponowane, by mogła zaimponować klientom. Draffus prawie zaniemówił z wrażenia i przeglądał zdjęcia powoli, z zachwytem i tęsknotą w oczach.

Obserwując go, przyznała rację dziadkowi, gdyż przekonała się, że Draffus jest łasy na pieniądze, władzę i rozgłos. Na pewno uważał, że ślub w luksusowym ośrodku przyczyni się do pozyskania znajomych wśród bogatych sfer. Zastanawiała się, czy Bryn już uświadomił snobistycznemu klientowi, jaką reklamę może przynieść pierwszy ślub w nowym tysiącleciu. Postanowiła roztoczyć przed Draffusem perspektywę rozgłosu prasowego.

- Niebywały album - przyznał Draffus. - Czy pani sądzi... czy to... że pani zajmie się kwiatami dla nas oznacza, że... nasze zdjęcia znajdą się w następnym?

Sophie ucieszyła się, że Draffus, podobnie jak pani McInerney, tak łatwo wpadł w zastawione sidła. Zrobiła smutną minę i pokręciła głową.

- Obawiam się, że nie. - Westchnęła. - Suknia Claire jest wspaniała, a ja postaram się zrobić egzotyczne bukiety, ale po to, żeby wzbudzić zainteresowanie sławnego fotografa, trzeba czegoś więcej.

- Myślałem, że szumny ślub w pierwszym dniu nowego tysiąclecia będzie wystarczającą atrakcją.

Sophie oczyma wyobraźni ujrzała dziadka, który ostro krytykował ludzi, naginających prawdę do swych celów, a mimo to powiedziała:

- Nie. Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że są setki podobnych ośrodków i w każdym odbędzie się ślub tysiąclecia. - Posmutniała. - Kłopot polega na tym, że państwo nie są szeroko znani.

- Rodzina Claire jest bardzo bogata...

- Owszem, bogata i wpływowa, ale tylko tutaj. Gdyby udało się wymyślić jakiś dodatkowy magnes... - Urwała, jakby się zastanawiała. - Dziwię się, że odwołali państwo ślub w kościele św. Marka.

- No, tam to już nie mielibyśmy żadnej szansy na rozgłos - gniewnie burknął Draffus. - Taki stary i mały kościół...

Sophie starała się panować nad sobą i mówić spokojnie.

- Ale najpiękniejszy w całym Queensland. Stare wnętrza ostatnio stają się bardzo modne wśród renomowanych fotografów. A czy państwo wiedzą, że byliby dwutysięczną parą, jaką pastor związał by węzłem małżeńskim? I ostatnią przed jego odejściem na emeryturę. Taka oprawa i taka historia... - Zrobiła rozmarzoną minę. - Wcale bym się nie dziwiła, gdyby w związku z tym zdjęcia z uroczystości ukazały się we wszystkich krajowych gazetach i tygodnikach. A i w kilku zagranicznych... - Popatrzyła na Draffusa niewinnym wzrokiem. - Oczywiście trzeba by nawiązać kontakt z dziennikarzami i ich zainteresować.

- Jak to zrobić?

- Wiem coś o mechanizmach rządzących reklamą. Jeśli państwo chcą, mogłabym się tym zająć.

Mówiła spokojnie, choć miała ochotę skakać z radości.

- Ale już zarezerwowaliśmy wszystko tutaj - odezwała się zdeorientowana Claire. - I moi rodzice...

- Siedź cicho! - fuknął narzeczony. - Pogadam z twoim ojcem i na pewno go przekonam.

- Przyjęcie weselne oczywiście odbędzie się tutaj. - Sophie zacisnęła kciuki i rzuciła ostatnią przynętę: - Gdyby wzięli państwo ślub w kościele, przygotowałabym kwiaty bezpłatnie. - Uśmiechnęła się do Draffusa, który spojrzał na nią podejrzliwie. -

Ja też wtedy skorzystam z reklamy. Tutaj blask chwały pada na właścicieli ośrodka, a tam dekoracja oficjalnie byłaby moją zasługą.

- Ale, Colin... - zaczęła Claire, lecz wystraszyła ją mina narzeczonego. - Przepraszam. Bardzo chciałabym wziąć ślub w naszym kościele, ale... Wiesz, że nie potrafię myśleć tak szybko jak ty. Wiecie co, pójdę na spacer, a wy przez ten czas spokojnie omówicie, jakie mają być kwiaty i jak ułożone. Nie jestem wam potrzebna.

Sophie ogarnęły wyrzuty sumienia, że postępuje wbrew woli Claire. Trochę pocieszała się tym, że dawna szkolna koleżanka jest dorosłą kobietą i powinna wiedzieć, co robi.

Słyszając, że otwierają się drzwi, odwróciła głowę przestraszona, że idzie Bryn i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła Joego z naręczem liści palmowych.

- O, przepraszam...
- Wejdz.
- Louise powiedziała, że ci się przydadzą. Są świeże, dziś ścinaliśmy.
- Dziękuję.

Popatrzyła na Draffusa i Claire; w jego oczach zobaczyła dolary i egoizm, a na jej twarzy dezorientację i jakby cień smutku. Zaczerwieniła się ze wstydu, że znowu będzie ingerować w cudze sprawy, a mimo to zapytała:

- Joe, jesteś bardzo zajęty?
- Nie. Muszę tylko sprawdzić, czy uprzątnięto plażę. W nocy fale wyrzuciły sporo wodorostów, więc posłałem chłopców, żeby je pozbierali.
- Czy... nie popsuje ci to szyków i... mógłbyś wziąć z sobą Claire? Akurat chciała iść na spacer.

- Będzie mi miło. - Joe popatrzył uważniej i oczy mu rozblęły. - Claire Lleyton, kopę lat! Masz jeszcze jakieś inne prośby?

- Nie - odparła Sophie stanowczym tonem. - Omawiamy plany weselne, ale wydaje mi się, że panna młoda ma słabe nerwy. Claire, wolisz iść na plażę, czy zostać?

- Chętnie pójdę. - Claire rozpromieniła się i serdecznie uśmiechnęła do Joego. - Cieszę się, że się spotykamy. - Spoważniała i zwróciła się do Sophie: - Wiesz, popieram twój pomysł. Biorąc ślub w kościele, będę pewna, że to najważniejszy moment w moim życiu. I liczę na to, że przyczynisz się do tego, by był taki, o jakim marzę. Mam pełne zaufanie do ciebie.

Sophie zarumieniła się, ponieważ wiedziała, że nie zasługuje na zaufanie.

Dwie godziny później wracała do domu w towarzystwie Joego, który nieśmiało zapytał:

- Co ze ślubem Claire?

- Młodzi chcą zmienić pierwotny plan i wziąć ślub w kościele, a tu przyjechać na ucztę weselną. Draffus ma to przemyśleć i ewentualnie powiadomić Bryna.

Joe stanął jak wryty i zawołał:

- Żartujesz! Przecież Bryn cię ukatrupi.
- Pewno tak.
- Już wie?
- Oni jeszcze się nie zdecydowali.
- Ale próbujesz ich przeciągnąć na swoją stronę?
- Tak.
- Aha. - Na jego wargach igrał porozumiewawczy uśmiech. - Zaczynam coś rozumieć z tego, co dotąd było niejasne. Sophie Connell, nic a nic się nie zmieniłaś! Zawsze coś knułaś, istny Machiavelli z ciebie.
- Nieprawda! - zaprzeczyła gorąco.
- Przyznaj się. Pamiętasz ten podstępny bukiet dla Claire? Sophie spaşowiała, ale nie spuściła oczu.
- Miałam dwanaście lat. Ty też byłeś winien.
- Tylko o tyle, że jak zwykle dałem się wciągnąć, bo zawsze umiałaś mnie przekabacić. Zrobiliśmy straszną przykrość Claire.
- To było śmieszne, więc długo się nie gniewała.
- Zawsze miała dobre serce. - Zawahał się, po czym rzekł poważnie: - Uważaj, co robisz, bo drażnienie Bryna jest jak igranie z ogniem.
- Wcale go nie drażnię.
- Przecież mam oczy i widzę. - Łagodniejszym tonem powiedział: - Miej na względzie dobro Claire. Proszę cię. Ona nie jest pionkiem, który możesz bezkarnie przedstawiać według własnego widzimisię.
- Kto mówi, że jest pionkiem?
- To dziecko...
- Ładne mi dziecko! Ma dwadzieścia sześć lat.
- I przez ćwierć wieku każdy popychają, jak i gdzie mu się żywnie podoba. Jej rodzice są despotycznymi snobami i taki sam jest Draffus. Wszyscy to widzą, a ona jakby nie, albo jest zbyt łagodna, żeby im się sprzeciwić. Jeśli Bryn i ty chcecie jej użyć do swoich celów, to... gdy zajdzie potrzeba, popsuję wam szyki. Ostrzegam.
- O Boże, co ty wygadujesz?
- Pamiętaj o Bogu, Sophie - rzekł ostro... jak na niego. - Pamiętaj o dobru bliźnich, nie tylko o swoim. Myślę, że ty też masz serce, więc posłuchaj jego głosu.

Ogarnęły ją okropne wyrzuty i bała się, że sumienie ją zagryzie. Pożegnała Joego i zamiast iść do domu, poszła na plażę. Zdjęła sandały i szła po kostki w wodzie, ale

czuła się, jakby tonęła na głębinie. Nie wiedziała, co powinna zrobić. Może byłoby najlepiej dla wszystkich, gdyby wróciła do Nowego Jorku? Nie, to niemożliwe. A może powinna przyznać się Brynowi do tego, co knuje za jego plecami? Nie! To w ogóle nie wchodziło w rachubę, zresztą na razie nic się nie zmieniło. Może więc powinna wyperswadować Claire małżeństwo z Draffusem?

Jedno rozwiązanie gorsze od drugiego.

Nie miała wątpliwości, że jeśli doprowadzi do zerwania zaręczyn, wywoła wściekłość Bryna i Draffusa, Joe uzna ją za intrygantkę, a dziadek powie, że nie miała prawa ingerować. Nie wiedziała przecież na pewno, a tylko podejrzewała, że Claire jest nieszczęśliwa.

Pocieszyła się myślą, że nic nie będzie musiała robić, ponieważ Draffus nie zdecyduje się na ślub w starym kościele. A jeśli nawet zmieni plany, będzie to jego decyzja. Jednak... czy również będzie to decyzja Claire?

Jej zdaniem Claire tak czy owak nie miała wyboru i to był największy szkopuł. Nie mogła nic zrobić, gdyż sprawa była wyjątkowo zawikłana i trudna.

Późnym popołudniem poszła do ośrodka, aby przygotować kwiaty na bardzo skromne wesele. Nie miała dużo pracy, gdyż państwo młodzi, którzy postanowili wziąć ślub na plaży, zamówili tylko skromny bukiet z róż i zawciągu. Po ułożeniu kwiatów poszła na plażę, aby zobaczyć ceremonię zaślubin.

To wesele, na które przyjechało około dziesięciu osób, diametralnie różniło się od uczty, wydanej przez państwa McInerneyów. Panna młoda była bosa, miała rozpuszczone włosy i skromną, powłóczystą suknię. Nowożeńcy patrzyli na siebie z zachwytem i głębokim uczuciem.

Sophie, obserwująca ich ze wzruszeniem, drgnęła nerwowo, gdy usłyszała z boku:

- Ale się zamyśliłaś.
- Ja... co...? - spytała zażenowana i spuściła oczy.
- O czym myślisz?
- Jak długo... stoisz koło mnie?
- Dopiero co podszedłem, ale obserwowałem cię z daleka, bo stałem wśród palm.

Młodzi nie życzyli sobie obecności kogokolwiek z hotelu, ale ja zawsze wolę być blisko, na wypadek gdyby...

- Ojciec panny młodej się spił, tak?
- No, na przykład.

Przeniósł wzrok na grupkę osób nad wodą. Ostatnie promienie zachodzącego słońca, widoczne jeszcze zza gór, oblały wszystkich złotem i purpurą. Jeden z gości grał na flecie piękną, mało znaną melodię, która zdawała się echem z dawnych czasów.

- Dzisiaj nie będzie pijanych - rzekł Bryn półgłosem. - Bardzo wzruszająca uroczystość, prawda?

- Taka, jaka powinna być.

- Pięknie ułożyłaś kwiaty.

- Dziękuję. Zrobiłam ten bukiet w dziesięć minut, ale nie mów nikomu, bo stracę pracę.

- Często najpiękniejsza jest prostota.

Zamilkli. Ślub dobiegł końca, flecista zagrał żywszą i znaną melodię, państwo młodzi oraz goście z ociąganiem ruszyli w stronę hotelu.

Sophie wiedziała, że też powinna iść, lecz stała, jak gdyby nogi wrosły jej w ziemię. Po chwili odwróciła się i postąpiła pierwszy krok. Bryn szedł obok, chociaż wolałaby, aby został w tyle lub ją wyprzedził.

- Pewno nie dasz zaprosić się na kawę, co? - zagadnął niepewnie.

- Zgadłeś.

- Z powodu Ricka?

- Tak.

Odpowiadała krótko, ponieważ była wzruszona i bała się, że zacznie się jąkać. Było jej na rękę, że Bryn uważa, iż jest z kimś uczuciowo związana.

- Szczęściarz z niego.

- Oboje mamy szczęście.

W duchu przeprosiła Ricka za to kłamstwo i przypisywanie mu roli nie tylko współnika w interesach.

- Zawsze uśmiechasz się, gdy myślisz o nim?

- Tak.

- Dziwne, że pozwolił ci wyjechać na tak długo.

- Nie bardzo chciał, ale oboje nie możemy jednocześnie wyjeżdżać. Rozumie, że muszę trochę czasu poświęcić rodzinie.

Rozmowa się urwała. Na myśl o szczęśliwym rywalu Bryn niemal zgrzytał zębami i zastanawiał się, dlaczego Rick jest wyjątkowy. Nie potrafił ukryć rozdrażnienia i szedł coraz szybciej, więc Sophie co Mika kroków podbiegała.

- Gdzie nauczyłaś się chińskiego? - zapytał, aby przerwać nieznośne milczenie.

- W Chinach. Dość dużo podróżowałam, zanim osiadłam na stałe... z Rickiem.

- Aha. - Zacisnął pięści z bezsilnej złości. - Znasz jeszcze jakieś języki?

- Trochę japońskiego, francuskiego, niemieckiego i włoskiego. Ale w żadnym nie mówię biegle, a czytać potrafię tylko po angielsku.

- Sześć języków! Daleko zajdziesz.

- A ty już zaszedłeś.

Pomyślała, że jest fałszywa, ponieważ wyraziła uznanie człowiekowi, którego ma zamiar oszukać. Nie miała wątpliwości, że jeśli Draffus zdecyduje się na ślub w kościele, Bryn domyśli się, kto maczał w tym palce. Dlatego postanowiła powiedzieć mu coś miłego, nim sympatia w jego oczach ustąpi miejsca pogardzie.

- Wiem, że właściwie nie wypada tego mówić, ale chcę, żebyś wiedział, że uważam cię za wyjątkowego człowieka. - Stała na palcach, pocałowała go w usta i natychmiast się odsunęła. - Wczorajszy wieczór był piękny i gdyby nie wzgląd na... Ricka, zakochałabym się w tobie bez pamięci.

Bryn milczał zaskoczony, więc dorzuciła:

- Aby nie popełnić głupstwa, albo muszę oblać się zimną wodą, albo iść do domu.

Ze wzruszenia nie mogła nic więcej powiedzieć i uciekła, nim Bryn zdołał ochłonąć.

Ledwo weszła do domu, pan Connell powiedział:

- Dzwoniła Claire Lleyton i prosi o telefon. Sądząc po głosie, stało się coś niedobrego.

Sophie wolałaby zastanowić się nad tym, co może usłyszeć, lecz mimo to od razu zadzwoniła. Claire istotnie miała zmartwiony głos.

- Kochana, strasznie mi przykro, ale nie zmienimy planów, bo ojciec stanowczo zabrania nam brać ślub w kościele. Colin jest zły, ale ojciec płaci za wesele, więc musimy się podporządkować.

Sophie zakryła słuchawkę dłonią i szepnęła:

- Dzięki Bogu! Próbowałam pomóc dziadkowi, ale w nieuczciwy sposób, więc lepiej, że nic z tego nie wyszło. Nic więcej nie mogę zrobić, czyli już nie muszę oszukiwać Bryna.

Usłyszała, że Claire płacze, więc rzekła pocieszająco:

- Nie przejmuj się, będzie dobrze.

- Wcale nie, bo poszłam do kościoła z Joem i na miejscu przekonałam się, jak bardzo pragnę właśnie tam wziąć ślub. Przypomniałam sobie dawne czasy i to, jak lubiłam ten kościółek i was dwoje...

- Ale teraz wiążesz się z Colinem.

- Taaak...

Claire zakaszłała i umilkła, a Sophie zdecydowała się powiedzieć to, co leżało jej na sercu.

- Wybacz, że pytam, ale jeszcze nie jest za późno. Czy jesteś pewna, że chcesz za niego wyjść?

- Jestem.

- A może chcesz, żebym przyjechała? Umiem łagodzić nerwy. Napijemy się herbaty i pogadamy od serca, ale nie o małżeństwie. Obserwując różne wesela i pary, zarzekam się, że nigdy nie stanę na ślubnym kobiercu.

Claire zaśmiała się przez łzy.

- Dziękuję ci za dobre chęci, ale jakoś sama się pozbieram.

I będzie, co ma być.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nerwy odmówiły Sophie posłuszeństwa, więc cieszyła się, że przez trzy dni nie będzie żadnego wesela. Teraz, gdy zdradziecki plan się nie powiódł, z jeszcze większym trudem panowała nad sobą w obecności Bryna. Unikała go, jak mogła, kwiaty układała błyskawicznie i wracała do domu. Dużo rozmawiała z dziadkiem, pielili ogród, chodziła na długie spacerunki. Mimo to nie uspokoiła się i nerwowo podskakiwała, ilekroć zadzwonił telefon. Nie uszło to uwagi pana Connella.

- Zrobiłaś się nadpobudliwa - powiedział zmartwiony. -Moje dziecko, co się z tobą dzieje? Czyżbyś się zakochała? Czekasz na telefon z Nowego Jorku?

- Nie.

- A od Ricka?

- Na pewno nie od niego, dziadku, wierz mi.

Ciekawa była, czy Bryn też podobnie reaguje i czy dlatego jej unika. Zaczęła podejrzewać, że przestał się nią interesować, a potem doszła do wniosku, że oboje zachowują się śmiesznie, jak nastolatki. I akurat wtedy zadzwonił. Telefon odebrał pan Connell, który zasłonił ręką słuchawkę i cicho powiedział:

- Do ciebie. Nie denerwuj się, to tylko Jasper.

- Dzień dobry - usłyszała pogodny głos. - Mam nadzieję, że nie jesteś zajęta, bo cię potrzebuję.

Zacisnęła palce na słuchawce tak mocno, że zbieleły jej kostki.

- Słyszysz mnie?

- Tak.

- Niespodziewanie zjawiała się u nas grupa fotografów, modelek i modeli. Z wydawnictwa, które na pewno znasz. - Podał tytuł znanego amerykańskiego miesięcznika. - Najpierw pojechali na Cape Tribulation, ale nie wykonali zadania, bo zdjęcia mają być w wodzie, a tam są krokodyle. Firma ubezpieczeniowa nie zgodziła się płacić, jeśli modelka wpadnie w paszczę krokodyla, więc przyjechali tutaj.

- No i co z tego?

- A to, że mam szczęście, bo akurat są wolne pokoje. Reklama zawsze pożądana. Zapowiedziałem, że dostaną pokoje, ale pod warunkiem, że między innymi umieszczą zdjęcia mojego ośrodka. Wiesz, jak to jest, prawda? A więc, najdroższa, najśladza Sophie...

- Czego chcesz? - zapytała schrypniętym głosem.

- Masz taki głos, jakbyś podejrzewała mnie o nieczne zamiary, na przykład o to, że każę ci wystąpić w skąnym bikini. Prawdę powiedziawszy, gdy sobie wyobrażę...

- Przestań!

- Chcę, żebyś ty ułożyła kwiaty do ich zdjęć. Już widzę je z podpisem: Kompozycje kwiatowe Sophie Connell z Marlin Bluff Resort.

- Ale...

- Wiem, że pastor w piątki odwiedza chorych w szpitalu w Port Douglas, więc nie przygotuje ci kolacji. Gdybyś zechciała przyjść teraz i jutro rano. Proszę...

Wystarczyło jedno słowo, a była gotowa lecieć do niego jak na skrzydłach. Joe miał rację; Bryn był niebezpieczny.

- Dobrze - zgodziła się potulnie. - Przyjdę za pół godziny.

- Dziękuję. Jesteś nieoceniona.

Próbowała udawać przed sobą, że jest niezadowolona z takiego obrotu sprawy, ale bezskutecznie. Natychmiast poprawił się jej humor. Czekają ją nie byle co: ułożenie kwiatów do zdjęć dla popularnego miesięcznika oraz przebywanie w towarzystwie Bryna.

- Życie jednak jest piękne! -szepnęła.

W foyer, w którym elegancy goście zazwyczaj chodzili powoli i rozmawiali przyciszonymi głosami, panował nieopisany gwar i kręciły się grupy fotografów oraz długonogich modelek i smukłych modeli. Wszędzie stały torby, walizki i kamery, a gońcy biegali jak konie wyścigowe.

Bryn zauważył Sophie, przeprosił osoby, z którymi rozmawiał, i podszedł do niej.

- Jesteś! - rzekł głosem człowieka tonącego, który stracił nadzieję na ratunek. - Nareszcie.

- Tak źle?

- Wyobraź sobie, że zachciewa im się ukwieconych wysp w basenie - zawołał. - Kwiaty mają być tropikalne, kolorowe! Jakim cudem...?

- Na Cape Tribulation też coś takiego chcieli fotografować?

- Mają różne pomysły. Ich projektant artystyczny, czy jak go tam zwał, dał szczegółowe wskazówki, ale tamtejsza kwiaciarka nie potrafiła wywiązać się z zadania i to był drugi powód, dla którego się przenieśli. Sprowadzą potrzebne kwiaty i chcieli ściągnąć kogoś z Cairns, ale zaproponowałem im... a właściwie uparłem się, żebyś ty ułożyła potrzebne kompozycje.

- Znasz nazwisko projektanta? -Nim odpowiedział, zauważyła prawie dwumetrowego mężczyznę, chudego jak tyczka i łysego jak kolano. - O, widzę Milesa.

Pobiegła, zręcznie omijając przeszkody, i rzuciła się chudzielcowi na szyję.

- Widzę, że państwo się znają - sucho zauważył Bryn, gdy podszedł do nich kilka sekund później.

Sophie i Miles uśmiechnęli się radośnie.

- Czy się znamy? - Miles pogładził Sophie po głowie. - Co za pytanie! Dziewczyno, co ty tu robisz? Nie wiedziałem, że pracujesz na antypodach. Mnie się nic nie mówi! Pokłóciłaś się z Rickiem, czy co?

- Skądże. Przyjechałam do dziadka i wspieram pana Jaspiera w ciężkiej sytuacji.

- Gratuluję, ma pan pomocnicę, o jakiej wielu marzy. - Miles objął Sophie. - Dlaczego nie powiedział pan, że to o nią chodzi? Nie byłoby dyskusji, bo Sophie jest najlepsza w całym Nowym Jorku. Gdyby Rick nie kazał jej się kryć, nie marnowałyby talentu...

- Przestań! - syknęła poirytowana. - Czemu przyprawiałeś biednego Bryna o ból głowy?

- Nie masz kogo żałować, bo słono płacimy „biednemu Brynowi” za jego udrękę. Kto chce rozgłosu, musi cierpieć, nie ma rady. Wiesz, kochanie, wymyśliłem sobie modelki leżące na ukwieconych wysepkach, bo to będzie fantastycznie wyglądać w tutejszym basenie. Trzeba wstawić do wody jakieś platformy i zakryć je kwiatami. - Zasepił się. - Tylko nie wiem, czy nieruchome platformy to dobre rozwiązanie, bo mogą być kłopoty z oświetleniem.

- A jakby wziąć nadmuchiwane materace? Może przyda się tu moje doświadczenie z zeszłorocznego pogrzebu...

- Co? - Bryn czuł, że traci grunt pod nogami. - Myślisz o tej trumnie z imieniem zmarłego?

- Nie. - Zaśmiała się rozbawiona. - Miles, artyście potrzebne są próby, prawda? Mnie też. Ale raz uprzedzono mnie, że będę miała dostęp do trumny dopiero godzinę przed uroczystością. Wobec tego narysowałam sobie wzór, jaki chciałam ułożyć, przygotowałam olbrzymią jakby pończochę z siatki i na niej upięłam kwiaty. Potem tylko wciągnęłam siatkę na trumnę i zaszyłam. Moglibyśmy przygotować tak samo te tropikalne kwiaty i potem wsunąć do środka materac..

- Genialne! - ucieszył się Miles. - Będę mógł robić zdjęcia, gdzie i jak chcę. Wiesz, przydałyby się ze trzy albo cztery wysepki. Modelki osobno, razem, w słońcu i na tle oceanu.

- Chcieli państwo rozpocząć jeszcze dzisiaj - przypomniał Bryn. - Jest mało czasu...

- Więc po co tu stoimy? Miles, są już kwiaty? Dobrze, jedna wyspa będzie gotowa za półtorej godziny, druga za trzy. Dwie pozostałe zrobię jutro rano.

- Niebo mi cię zesłało. - Miles pocałował ją w czoło i zwrócił się do Bryna: - Panie Jasper, jakich argumentów użył pan, żeby ją zwabić? Ma pan wielkie szczęście.

- Wiem - powiedział, ale jednocześnie pomyślał z goryczą, że jednak nie takie, jakie ma pewien człowiek w Nowym Jorku.

Przez trzy godziny Sophie i Lxniise pracowały w szalonym tempie, ale gdy na niebie pojawił się księżyc, w basenie pływały wysepki z przepięknymi kwiatami: kremowozłotym uroczynem, błękitnymi hortensjami i białymi liliami. Modelki ostrożnie układano tak, aby nie uszkodzić kwiatów. Po każdym zdjęciu zniszczone kwiaty wymieniano na świeże.

- Jutro helikopterem przywiozą nam kwiaty z Brisbane -cieszył się Miles. - Dostaniemy czerwone i żółte gerbery, niebieskie irysy, szkarłatne anemony, żółte frezje, białe i zielone storczyki oraz jakiś... pieris japoński...

- Ohoho! - zawołała Sophie.

Czuła, że będzie w kwiatowym raju i współczuła Rickowi, który został w zimnym Nowym Jorku i układał wieńce. Nagle serce przestało jej bić, gdyż podszedł Bryn i objął ją w talii.

- Jesteś szczęśliwa?

Serce ożyło i zaczęło walić jak młotem. Nie była w stanie dać odpowiedzi, ale pomyślała, że nigdy nie czuła się szczęśliwsza niż teraz, gdy pod wygwieżdżonym niebem stoi u boku Bryna i słucha szumu fal.

- Pachniesz kwiatami, które układałaś, i nie tylko. - Ustami musnął jej włosy. - Zostań na kolacji. Oni muszą pracować, ale my jesteśmy wolni...

- Nieee.

- Czemu? Z powodu Ricka?

- Może.

- Nie powinno mu przeszkadzać, że zjesz kolację z obecnym szefem. A może się mnie boisz? - Objął ją mocniej. - Nie jestem wilkiem, a ty nie jesteś Czerwonym Kapturkiem.

- I nie ma gajowego z fuzją, który biegnie na ratunek. Nie, dziękuję.

- Dlaczego tak się wzbraniasz?

Nie mogła powiedzieć, że z obawy przed miłością. Pamiętała, że Bryn nie uznaje trwałych związków, więc musiała być ostrożna.

- Bo... obiecałam Rickowi... że zadzwonię.

Było to o tyle prawdą, że rzeczywiście chciała dowiedzieć się, jak sobie radzi.

- Aha.

- I... już muszę iść. Teraz nie jestem potrzebna, ale jutro powinnam przyjść skoro świt. Chcę się wyspać...

- Odprowadzę cię.

- Nie trzeba. - Spojrzała na zegarek. - O tej porze Joe wychodzi z psami, więc pójdę z nim.

- Jego towarzystwo jest miłsze od mojego?

- Po prostu do niego mam zaufanie.
- A do mnie ani trochę?
- Niestety.

Długo patrzył na nią w zamyśleniu, po czym uśmiechnął się przewrotnie.

- Chyba słusznie, bo w tej chwili sam sobie nie ufam. Więc idź do domu i zadzwoń do tego twojego Ricka. - Rzucił jej gniewne spojrzenie. - Mam nadzieję, że jest dużo wart.

Sophie uśmiechnęła się kwaśno. Rickowi na pewno nigdy przez myśl nie przeszło, że może posłużyć jej za tarczę.

- Uważa, że jest, a to dla mężczyzny najważniejsze.
- A dla kobiety nie?
- Panie Jasper, życie mnie nauczyło, że mężczyźni bardziej niż kobiety są czuli na punkcie swej ważności.

- Pani Connell - zaczął z groźną miną - życie chyba jeszcze nie nauczyło pani, że nie należy drażnić szefa, bo to nierozsądna taktyka. Innymi słowy... niesubordynacja.

- Wiem. - Wesoło rozbłysły jej oczy. - Ale bardzo to lubię. Nie zauważyłeś, że mam niejaki talent?

Nie znalazł odpowiedzi na takie dictum. W milczeniu patrzył na smukłą postać, oblaną księżycowym światłem. Sophie była śliczna, ale nieosiągalna, a tak bardzo jej pragnął.

- Może jutro zostaniesz?
- Słucham?
- Jutro Amerykanie urządzają wielkie przyjęcie, bo chcą szumnie zakończyć pobyt w Australii. Przyjdiesz?

- Przyjdź koniecznie - powiedział Miles, który akurat do nich podszedł. - Żadnych wykrętów. - Z niesmakiem spojrzał na jej roboczy strój. - Ale ubierz się, jak przystoi pięknej kobiecie. Wiem, że jeśli chcesz, potrafisz olśnić.

Przez cały dzień była bardzo zajęta, ponieważ stale musiała wymieniać połamane kwiaty. Po powrocie do domu starała się znaleźć wymówkę, by nie iść na przyjęcie.

- Będzie tylu ludzi, że nikt nie zauważy mojej nieobecności - tłumaczyła dziadkowi. - Rozsądniej będzie, jeśli się wyśpię.

- A zaprosili cię?
- Tak, ale...
- Moja droga, nie udawaj, że jesteś zmęczona. Co innego ja. - Pastor głośno ziewnął. - Wszystko przez to, że wyprowadzam psy o świcie; potem wieczorem oczy same mi się kleją i dlatego nie dotrzymuję ci towarzystwa. - Westchnął. - Tak mi tu dobrze, a niedługo trzeba odejść...

Sophie zrobiło się żal dziadka. Wiedziała, że bardzo kocha Ellie i jej dzieci, lecz sercem jest związany z Marlin Bluff. Czuli się bezradni, ponieważ nie mogła nic zrobić, nie potrafiła mu pomóc. Nie miała pieniędzy, aby przelicytować Bryna, a poza tym dziadek był coraz słabszy i nie powinien na starość mieszkać sam.

Widząc, że posmutniała, pan Connell położył rękę na jej dłoni i smętnie się uśmiechnął.

- Kochana, idź na to przyjęcie. Każdy ma swoje życie i swoje smutki, a ja nie chcę zarażać cię moimi. Miałem dobre życie i zgrzeszyłbym, gdybym narzekał, a że trzeba się stąd usunąć, to trudno.

Sophie miała łzy w oczach z żalu, że nie może sprawić, by dziadek udzielił dwutysięcznego ślubu. To jedyna rzecz, która jeszcze mogłaby mu rozjaśnić ponury okres czekania na wyrok losu. Co zrobić? Nie wypadało jej dzwonić ani do Claire, ani tym bardziej do jej ojca. Podstępny plan się nie powiódł. Jedyny plus, że Brynowi nie wbije noża w plecy.

- Moje dziecko, idź się bawić - uparcie powtórzył pan Connell. - Dzięki temu twój stary dziadek położy się bez wyrzutów sumienia.

Pomyślała, że jeśli pójdzie, przynajmniej nie będzie bezsennie leżała i przewracała się z boku na bok. Wiedziała, że dużo ryzykuje, ale zdecydowała się pójść.

Otworzyła szafę i przejrzała rzeczy, które przywiozła. Nie było ich wiele, a wieczorowa toaleta w zasadzie tylko jedna: turkusowa suknia z jedwabiu, którą bardzo lubiła, mimo że była dość ryzykowna. Zawahała się, nie wiedząc, czy powinna w niej wystąpić.

Zobaczyła suknię na wystawie ekskluzywnego sklepu i od razu się nią zachwyciła, ale przez kwadrans chodziła po ulicy, zanim zdecydowała się ją kupić. Po wyjściu ze sklepu opadły ją wątpliwości i wyrzucała sobie lekkomyślność.

- Rick, zrobiłam horrendalne głupstwo - zawołała od progu. - Kupiłam suknię, która nie jest mi potrzebna, i wydałam wszystkie pieniądze. Co mam teraz zrobić?

- Włóż ją i pokaż mi się - poradził Rick. - Może warto było się szarpnąć.

Gwizdnął z uznaniem, gdy zobaczył ją w niezwyklej kreacji, leżącej na niej jak ulał. Suknia była z małym dekoltem, krótkimi rękawami i krótką spódnicą, rozciętą z boku. Na pozór, ale tylko na pozór, była bardzo skromna.

Mieniący się materiał wyglądał jak przezroczysty, a podszewka była wszyta w taki sposób, jakby jej nie było. Patrzący odnosił wrażenie, że widzi grę światła i cieni i jeśli Sophie stanie inaczej, zobaczy to, co jest pod spodem.

Jak zwykle miała wątpliwości i zastanawiała się, czy powinna włożyć taką prowokującą suknię. Nie wiedziała, czy będzie to dowód odwagi, czy braku rozsądku. Może jednego i drugiego?

Uczesała bujne czarne loki, okalające bladą twarz i pomalowała oczy tak, aby wydawały się jeszcze większe. Wsunęła pantofle na wysokich, cienkich obcasach, ale po namyśle je zdjęła; wolała nie ryzykować, że na plaży skreśli nogę.

Wmawiała sobie, że ubrała się w tę suknię na prośbę Milesa, a nie dla Bryna. Spojrzała w lustro i wysunęła język. Czuła, że w ogóle nie powinna iść, tym bardziej że przyjęcie już się zaczęło, a nie lubiła się spóźniać. Ogarniała ją trema, więc aby jej nie ulec, czym prędzej schwyciła torebkę i pantofle i wyszła z domu.

- Bryn, nadchodzę! Miej się na baczności!

Szła wpatrzona w grzywy fal, więc nie zauważyła osoby, idącej z naprzeciwka. Gdy zobaczyła Bryna, w pierwszym odruchu chciała zawrócić i uciec. Zawsze na jego widok jej serce zamierało albo tłukło się jak ptak w klatce. Biedne serce.

- Już myślałem, że wcale nie przyjdiesz - powiedział z wyrzutem.

- Gdzie jest Joe?

- Wziął wolne, bo musiał załatwić coś pilnego. Tak rzadko o coś prosi, że nie mogłem mu odmówić. Pracuje właściwie bez urlopu.

- A psy?

- Zamknięte. Gdybym z nimi przyszedł, nie mógłbym wziąć cię za rękę, a mam zamiar to zrobić. Potrzebujesz męskiej opieki, bo pewno boisz się ciemności.

- Dotychczas się nie bałam.

- Sądząc z tonu, nie jesteś wdzięczna, że po ciebie wyszedłem - poskarżył się.

- Nie udawaj dżentelmena, którego wzruszają bezradne damy. - Zasapała się, lecz nie poprosiła, aby zwolnił kroku. - Podejrzewam, że najchętniej wziąłbyś mnie pod pachę i zaniósł prosto do swojej jaskini.

- Kiepski ze mnie jaskiniowiec, bo gdzieś zapodziałem maczugę - rzekł rozbawiony. - Ale przyznam się, że przy tobie budzi się we mnie pierwotny człowiek i ochota, by wziąć...

- No, dokończ.

- Który idzie ze swoją kobietą...

- Nie jestem twoja.

- Wiem, należysz do Ricka.

- Nie należę do nikogo!

- Ale dzisiaj...

- Dzisiaj też!

- Niech ci będzie. - Wziął ją za rękę. - Przestańmy się sprzeczać i cieszmy tym, co nas czeka. W taką noc wszystko może się zdarzyć.

Bryn był zbyt atrakcyjny, by pozwolono mu przebywać w towarzystwie tylko jednej, i to nieznannej kobiety. Prawie natychmiast podeszły do nich trzy modelki, które

obrzuć Sophie nieprzyjnym spojrzeniem, otoczyły Bryna i ich rozdzieliły. Bryn starał się być jak najbliżej Sophie, na to jednak nie pozwolił Miles, który też do nich podszedł. Popatrzył na Sophie z pełną aprobatą.

- Dziewczyno, zawrócisz nam wszystkim w głowie - zawołał, przekrzykując orkiestrę. - Zapraszam cię do tańca.

- Chwileczkę! - sprzeciwił się Bryn. - Mnie się należy pierwszy taniec, bo wyszedłem po nią na plażę.

- Dziękuję, że był pan łaskaw pójść po moją damę. - Miles skłonił się przesadnie nisko. - Jestem niezmiernie panu zobowiązany.

Poprowadził Sophie na parkiet, tuż przed podium dla orkiestry, która zaczęła grać walca.

- Powiedz mi - rzekł z ustami przy jej uchu - co ten Jasper ma, a czego mnie brak? Może on jest czarodziejem? Na Cape Tribulation lało jak z cebra i szalała wichura, a gdy przenieśliśmy się tutaj, twój Jasper pstryknął palcami i, hokus pokus, mamy słońce.

- On nie jest mój - sprostowała.

- Moja droga, nie zaprzeczaj, bo gołym okiem widać, że go złowiłaś. Chcesz wiedzieć, co się dzieje za twoimi plecami? Chociaż uwodzą go najpiękniejsze kobiety świata, on wodzi oczyma za tobą, a na mnie patrzy, jakby chciał zabić wzrokiem.

- Przestań...

- Całkiem wpadł w twoje sidła. Co z nim zrobisz?

- Nic - mruknęła gniewnie.

- Jesteś okrutna. Nie można doprowadzić mężczyzny do tego żeby tak na ciebie patrzył i zostawić go na lodzie.

- Wcale nie chciałam go złowić. Gdyby wiedział, co zamierzałam zrobić, byłoby ze mną krucho.

Miles odsunął ją na wyciągnięcie ręki.

- Kpiny ze mnie stroisz? Chyba nie chciałaś wejść mu w paradę w interesach?

- A jednak chciałam.

- Niemożliwe.

- Naprawdę. Ale mi się nie udało.

- Dzięki Bogu. Możesz pokrzyżować mu miłosne plany i jakoś ci to ujdzie. Ale w interesach jest bezwzględny, więc jeśli coś przeszkrobałaś, radzę ci usunąć mu się z oczu i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W innej sytuacji bawiłaby się doskonale, ponieważ otoczenie było idealne na udane przyjęcie na świeżym powietrzu. Pod kopułą z milionem gwiazd muzyka i szum fal harmonizowały z sobą, a przyjemny wiatr owiewał rozpalone twarze. Dla ukoronowania tego wszystkiego w przyjęciu brali udział niecodzienni ludzie. Sophie z zachwytem patrzyła na wspaniale zbudowanych modeli i nieziemsko piękne modelki w oszałamiających strojach. Goście dokładali starań, aby udał się ostatni wieczór w cieplej Australii przed powrotem do zimnego Nowego Jorku.

Mimo obecności tylu pięknych kobiet, Sophie nie brakowało partnerów, gdyż Miles i modele na wyścigi zapraszali ją do tańca. Nie potrafiła jednak szczerze się z tego cieszyć, ponieważ dla niej ważny był Bryn, który tańczył wyłącznie z modelkami, a jej ani razu nie zaprosił. Po dwóch godzinach czuła taką zazdrość, że miała ochotę krzyknąć. Bardzo ją irytowało, że tak dziwnie reaguje.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna dać się ponieść uczuciom, ponieważ byłoby to wysoce nierozsądne. Bryn był bardzo przystojnym mężczyzną i milionerem, więc wystarczyło, aby kiwnął palcem, a otaczał go rój pięknych i sławnych kobiet. Uważała, że w związku z tym jedyne, na co ona może liczyć, to to, że po rozstaniu w styczniu będzie pamiętał o niej przez kwartał. Teraz pilnie potrzebował zdolnej kwiaciarki, a że okazała się atrakcyjną kobietą, chciał poflirtować z nią, lecz to wszystko. Była przekonana, że jego pocałunki nic nie znaczyły. Wypiła resztę szampana, czarująco uśmiechnęła się do kolejnego partnera i poszła tańczyć.

Nie tylko ona padła ofiarą zazdrości. Bryn tańczył z modelkami, lecz przez cały czas dyskretnie obserwował Sophie, która podobała mu się coraz bardziej, szczególnie w tej niezwykłej sukni. Niemal za każdym razem, gdy jej partner mocniej przytulał ją do siebie, on nieświadomie zaciskał pięści na plecach swej partnerki.

Śliczna blondynka spojrzała na niego oczyma, w których każdy inny mężczyzna mógłby się zatracić, lecz on nie widział ich piękna.

- Co panu jest? - spytała zaniepokojona.

Speszył się i nie wiedział, co odpowiedzieć. Zły był na siebie, ponieważ zazdrość psuła mu przyjemność; kiedy indziej byłby zachwycony takim przyjęciem i towarzystwem. Z niezręcznej sytuacji wybawiło go to, że orkiestra przestała grać. Nie miał wyrzutów sumienia, że zostawi śliczną dziewczynę bez partnera.

- Proszę wybaczyć, ale muszę odejść - rzekł czym prędzej. - Przypomniało mi się, że nie dopilnowałem czegoś bardzo ważnego.

Oczy blondynki zrobiły się jeszcze większe.

- Pan osobiście wszystkiego dogląda? Nie ma do tego innych ludzi?

Nie przyznał się, że ma wykwalifikowanych pracowników, którzy nienagannie wywiązują się z obowiązków. Uśmiechnął się, jeszcze raz przeprosił i odszedł.

Zajrzał do kuchni, chociaż wiedział, że kontrola jest niepotrzebna i poszedł na plażę, aby stamtąd ponurym wzrokiem obserwować tańczących. A raczej tylko Sophie.

- Co mnie napadło? - mruczał zirytowany. - O co mi chodzi?

Nigdy nie zachowywał się tak z powodu kobiety. Kiedyś, dawno temu, uważał, że trwałe związku oparte na miłości jest możliwe, lecz śmierć Tiny i zdrada Elise stanowiły nauczkę, której nie mógł zapomnieć. Nie chciał, aby znowu krwawiło mu serce i uważał, że to, co czuje do Sophie, wygląda na chwilowe szaleństwo.

- Coś pana gnębi, prawda? - usłyszał za plecami.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał Milesa, który patrzył na niego z nie ukrywanym zainteresowaniem. Nie widział nic poza Sophie, więc nie zauważył, kiedy Miles opuścił parkiet.

- Przyszedłem, żeby tutaj zaciągnąć się cygarem - wyjaśnił Miles. - Ostatnio tyle szumu wokół palenia i co rusz jakaś sprawa w sądzie, więc lepiej trzymać się z dala od ludzi. No i nie chcę, żeby mi ktoś zrobił zdjęcie, gdy wyglądam jak komiksowy bohater, z kłębem dymu nad głową. - Spojrzał na cygaro, obrócił je w palcach, po czym zerknął spod oka na Bryna. Zastanawiał się, czy podtrzymać ten sam temat rozmowy. - Trochę ryzykuję, bo stoję blisko pana. Mój drogi, czy poda mnie pan do sądu, jeśli za pół wieku lekarz stwierdzi u pana raka płuc?

- Nie. - Bryn uśmiechnął się mimo woli. - Solennie obiecuję, że nie zaskarżę.

- Dziękuję. - Miles postanowił zaryzykować i poruszyć inny temat. - Widzę, że obserwuje pan Sophie i jej partnera. Czy wobec niego byłby pan równie wspaniałomyślny?

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

Miles kilka razy z lubością zaciągnął się cygarem.

- Ja obserwuję pana, a pan jego - rzekł spokojnie. - Tworzą przystojną parę, prawda? Sophie jest prześliczną dziewczyną.

Zamilkł i czekał.

- Przyznaję - mruknął Bryn.

- Łatwo rozgrzeszyć Edwarda. Jeśli się straci głowę...

- Ale nie...

- Może jeszcze nie - przerwał Miles - ale tańczy z nią już drugi raz. A pan?

- Co ja?

- Zakochał się pan w niej?

- Niech pan nie opowiada głupstw!

- Słusznie. To głupi pomysł.

Zamilkli i teraz obaj patrzyli na parkiet. Akurat jakiś mężczyzna chciał zatańczyć z Sophie, lecz Edward przecząco pokręcił głową i mocniej objął partnerkę. Sophie roześmiała się, a Bryn zacisnął pięści. Miles zerkał na niego z rozbawieniem.

- Nie uważa pan, że też powinien z nią zatańczyć? - spytał niby obojętnie. - To będzie ich trzeci taniec razem, po którym wszystko możliwe... Chyba warto...

- Ja nie...

- Nie ma pan ochoty?

- Nie mam w zwyczaju tańczyć z kobietą, która należy do innego - wycedził Bryn przez zaciśnięte zęby.

- O ile wiem, Sophie dopiero dziś poznała tego młodego człowieka. - Miles starannie przyciął cygaro i włożył do ust. - Trudno to nazwać długim, nierozzerwalnym związkiem.

- Nie chodzi mi o niego, tylko o Ricka.

- Ooo!

- Nie dała zaprosić się na kolację, bo musiała zadzwonić do Ricka. Na nic się nie zgadza ze względu na niego. Sam pan ją pytał, czy się rozstali, prawda? Godząc się tu pracować, zrobiła mi grzeczność, ale za miesiąc wraca do niego, więc nie chcę wchodzić między nich.

- Jestem pełen uznania dla pańskich skrupułów, ale Rick niekoniecznie ma powód do wdzięczności.

W głosie Milesa brzmiała nuta rozbawienia, więc Bryn oderwał oczy od tańczących i spojrzał na niego.

- Dlaczego? - syknął. - Jak mam to rozumieć?

- A tak, że Rick, owszem, jest jej partnerem, ale tylko jako właściciel kwaciarni przy Piątej Alei. Poznał się na talencie Sophie i zaproponował współpracę, ale bez miłosierdzia ją goni. Ona jest mniej ważnym partnerem w tej spółce, o czym doskonale wie.

Bryn stał jak rażony piorunem.

- Interesowało mnie, czy się pokłócili - ciągnął Miles - bo ostatnio stosunki między nimi były dość napięte. Widzi pan, klienci pytają głównie o nią, co Rickowi nie w smak.

- Ale... - Bryn odzyskał głos. - To znaczy... pan mówi, że oni są tylko... partnerami w pracy?

- Tak.

- Dawała mi do zrozumienia, że są czymś więcej.

- Widocznie ma jakieś powody. Żal mi pana, więc zdradzę, że Rick przekroczył pięćdziesiątkę, waży ponad sto kilo i nawet gdyby się Sophie podobał, jego żona i troje dzieci miałyby coś do powiedzenia. Hmm, każdy ma powody, by postępować tak, a nie inaczej. Radzę ją zapytać.

Bez słowa pożegnania Bryn poszedł w stronę parkietu. Miles był prawie pewien, że Edward już więcej nie zatańczy z Sophie.

Bryn widział, że kilku mężczyzn uprzejmie, ale bezskutecznie próbowało odebrać Edwardowi partnerkę i dlatego postąpił niezgodnie z regułami gry. Podeszedł do Edwarda od tyłu, schwycił go pod pachy, podniósł i odstawił na bok, po czym objął Sophie i tańcząc, poprowadził na drugą stronę parkietu.

- Co... jak...? - jąkała zdumiona. - Przepraszam, ale tańczyłam z Edwardem.

- Dobrze, że użyłaś czasu przeszłego. - Objął ją jeszcze mocniej, więc prawie nie mogła oddychać. - Teraz tańczysz ze mną.

- Ale nie chcę...

- Nie chcesz tańczyć? - Spojrzał na nią pociemniałymi oczyma. - Bardzo dobrze, moja piękna pani, bo mam wobec ciebie inne plany.

Nim zdołała cokolwiek powiedzieć, wziął ją na ręce i skierował się na plażę. Wszyscy, nie wyłączając Milesa, stanęli i patrzyli na nich. Sophie odzyskała głos, dopiero gdy byli daleko od parkietu.

- Puść mnie! - krzyknęła.

- Za żadne skarby. Od pierwszego spotkania doprowadzasz mnie do szału, a w tej sukni... - Z gardła wyrwał mu się zduszony jęk. - Nie masz pojęcia, co się ze mną dzieje, gdy na ciebie patrzę.

- To nie patrz. - Pomyślała, że powinna była ubrać się w worek. - Tak mi było dobrze, gdy tańczyłam z Edwardem, a przedtem z Patrickiem i Milesem...

- Sophie! - zawołał groźnie.

- Co?

- Przestań!

Szedł długimi krokami, rozglądając się i wpatrując w piasek.

- Co masz zamiar zrobić?

- Szukam czegoś.

- Czego?

- Dowiesz się, gdy znaję.

Nareszcie zobaczył to, czego szukał i podniósł, nie wypuszczając Sophie z ramion. Postawił ją, ale trzymał tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Prędko odchylił jej suknię przy szyi i wrzucił za dekolt... meduzę.

- Co ty... - pisnęła, szarpiąc się.

- Przepraszam, to nie po rycersku. I nie wiem, kto podsunął mi taki dziecinny pomysł... No, moja droga, jesteśmy kwita, jeśli chodzi o meduzy. Czy człowiek może dać większy dowód uczucia?

- Bryn...

Usiłowała rozpiąć stanik, lecz się nie udało, ponieważ suknia była zbyt obcisła. Wiedziała, że nie wyrzuci meduzy, jeśli się nie rozbierze.

- Pomóc ci?

- Idź do diabła! Jesteś podstępny, oszukujesz...

- Jak ty, gdy opowiadasz, że jesteś związana z Rickiem.

- Przecież jestem.

- Z jego żoną i dziećmi też?

- O, widzę, że Miles maczał w tym palce. Życzę mu, żeby zadławił się swoim ulubionym cygarem. - Odwróciła się na pięcie. - Idę do domu.

Bryn popatrzył na nią roziskrzonym wzrokiem.

- Nie pójdziesz.

- Kto mi zabroni?

- Ja. Niektórzy są uczuleni na meduzy, więc jeśli zaraz jej nie wyciągniesz, możesz dostać wysypki.

- Nie miewam uczuleń.

- Mimo to wolę nie mieć cię na sumieniu. Chyba nie chcesz, żeby mnie zagryzło, prawda?

Trzymał ją w objęciach. Było tak dobrze, że nie chciało się jej myśleć, więc nie znalazła ciętej odpowiedzi. Zresztą zapomniała o meduzie, a ważne było to, że w oczach Bryna widzi czułość.

- Przypominam o alergii - rzekł półgłosem.

- Co mam zrobić?

- Mieszkam niedaleko. Moglibyśmy iść do mnie i w domu pomogę ci...

- Zdjąć suknię? - spytała zaniepokojona.

- Jeśli będzie trzeba. - Wciąż patrzył na nią z czułością.

- Dlaczego kłamałaś o Ricku?

- Ze strachu.

- Czego się bałaś?

- Ciebie, bo budzisz we mnie uczucia, jakich nie znam - przyznała się ucziwie, patrząc mu prosto w oczy. - Ze strachu głupieję i nie wiem, co robię.

Długo wpatrywał się w nią, nic nie mówiąc. Potem postawił ją i chwycił za rękę. Sophie zadrżała, cała dygotała, a gdy położył dłonie na jej ramionach, przebiegł ją dreszcz.

- Co ci jest? Nie masz czego się bać. Przysięgam, że nie zrobię ci krzywdy
- Nie posądzałam cię o to.
- Więc o co chodzi, kochana?
- Ja nie...

Tyle było pytań, na które chciałyby znać odpowiedź. Bryn był bogaty i wpływowy. Czy znajdzie się dla niej miejsce w życiu takiego człowieka? Czy mają ze sobą coś wspólnego? Czy możliwa jest przyszłość we dwoje? Nie wiedziała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że mimo wszystko pokochała go całym sercem. To była prawdziwa miłość.

Nieśmiało spojrzała na niego spod rzęs. Pomyślała, że ta noc należy do Bryna, nawet jeśli potem w jej życiu będzie pustka. Jutro nie liczyło się. Podjęła decyzję i od razu przestała dygotać.

- Pokochałam cię i dlatego się boję. Kocham cię tak, jak nigdy nikogo nie kochałam.

Bryn tylko westchnął, a ona zrozumiała, że przyjął jej wyznanie jak dar o bezcennej wartości.

- Najdroższa - szepnął, tuląc ją do piersi. - Ukochana. Serce moje.

Idąc do jego mieszkania, co chwilę się całowali. Oboje byli zakochani i nie myśleli o tym, co przyniesie ranek.

Rano przyszło stanowczo za prędko.

Sophie zbudziła się pierwsza i spojrzała na świat za oknem; pomimo pory deszczowej znowu wstał słoneczny dzień. Poruszyła się, a wtedy Bryn objął ją i chciał pocałować.

- Zaczekaj...

- Na co?

- Zaraz się dowiesz. Ja mam zobowiązania, nie to, co ty. - Położyła mu palec na ustach, podniosła słuchawkę i wybrała numer. - Dzień dobry, dziadku.

- Dziecko, gdzie jesteś? - zdziwił się pan Connell. - Właśnie wróciłem z psami i chciałem przynieść ci gorącą herbatę...

- Jestem w ośrodku. Zabawa późno się skończyła, więc tu nocowałam.

- Jak się czujesz?

- Dobrze, ale jestem trochę zmęczona, O jedenastej jest ślub, więc zaraz zabiorę się do układania kwiatów. - Poczowała gorącą dłoń na plecach. - Przyjdę na lunch.

- Masz jakiś dziwny głos.

- Ale nic mi nie jest.

- Czy Jasper zajął się tobą?

- Tak.

- Nie musisz spieszyć się do domu, pracuj spokojnie.
- Dziękuję, dziadku. - Odłożyła słuchawkę. - Bryn, przestań, bo czas wstawać. -
Ogarniało ją pożądanie, a mimo to dodała: - Zapomniałeś, że ślub jest o jedenastej?
Muszę już iść i przygotować bukiet.

- Nie musisz, bo zrobisz go w pięć minut. Założę się, że potrafisz układać kwiaty przez sen. - Pocałował ją w szyję. -A że śpisz ze mną...

- To nazywasz spaniem? - zapytała ze śmiechem.

- Przecież tak się mówi. Obiecuję, że jeśli panna młoda poskarży się na bukiet, wybaczę ci - rzekł wspaniałomyślnie. -I nic nie potrączę z pensji.

- Ale łaska.

- W dodatku wynagrodzę cię w inny sposób.

- Na przykład jaki?

- O, taki. - Przekoziółkował razem z nią. -I zrobię dla ciebie wszystko, tylko powiedz, czego ode mnie oczekujesz. Najdroższa, najśłodsza, jak mogę ci służyć?

- Hmm... - Popatrzyła na niego oczyma błyszczącymi jak gwiazdy. - Już wymyśliłam.

- Co takiego?

- Zrób mi herbatę.

- Naprawdę masz ochotę na herbatę?

- Tak. - Objęła go i pocałowała. - Ale za kwadrans... albo za pół godziny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kolejna panna młoda, projektantka mody, dokładnie wiedziała, czego chce, więc bukiet ślubny oraz cała oprawa kwiatowa musiały być zrobione ściśle według jej wskazówek. Wymagało to napiętej uwagi i głównie dzięki temu Sophie zdołała odsunąć na dalszy plan wspomnienia nocy spędzonej z Brynem.

Była w nastroju pełnym twórczej fantazji i miała wrażenie, że potrafiłaby sprostać każdemu zamówieniu, a nawet zawojować świat. Patrząc na gotowy bukiet, pomyślała z zadowoleniem, że na pewno doda uroku panie młodej.

Louise raz po raz spoglądała na nią kątem oka, a wreszcie powiedziała:

- Wyglądasz jakoś inaczej.

Sophie uśmiechnęła się od ucha do ucha. Nie zdziwiło jej, że wygląda inaczej, ponieważ miała na sobie cudze rzeczy. Nie wypadało pójść do pracy w wyplamionej sukni i dlatego rano włożyła spodnie od dresów i luźną bawełnianą bluzkę z napisem „Wimbledon 97”. Spodnie i bluzka należały do pani Jasper.

- Moja matka ma podobną figurę, więc coś dla ciebie znajdziemy - rzekł Bryn, gdy chciała iść do domu, aby ubrać się do pracy. - Zawsze zostawia połowę garderoby i na pewno nie miałaby nic przeciwko temu, że z czegoś skorzystasz.

Sophie przemknęła przez głowę podejrzliwa myśl, że rzeczy zostawiła któraś z jego przyjaciółek, lecz była taka szczęśliwa, że nie przeszkadzały jej podobne drobiazgi. Uznała, że przeszłość się nie liczy, a ważne jest tylko to, iż Bryn będzie obecny w jej przyszłym życiu.

- Cieszę się - przerwała jej rozmyślenia Louise - że przynajmniej ty jesteś szczęśliwa.

Sophie zaskoczył ton jej głosu, więc spojrzała na nią zdziwiona i spytała:

- A kto jest nieszczęśliwy?

- Joe.

- O?

- Nie widziałaś, że wyglądał jak uosobienie rozpacz? Prawie się do nas nie odzywał.

Niczego nie zauważyła i dopiero teraz uświadomiła sobie, że istotnie był wyjątkowo milczący.

- Może ma kłopoty z psami - powiedziała bez przekonania. - Mnie by doprowadziły do szału.

- Ale on je uwielbia.

- Więc, co mu jest?

- Nie mam pojęcia. - Louise wzruszyła ramionami. - Może nie wiecie mu się w miłości, chociaż nie słyszałam, żeby kogoś miał. Jest taki zakompleksiony, że z nikim się nie umawia. - Zerknęła na Sophie i uśmiechnęła się. - Jeśli go spotkasz, podziel się z nim swoją radością, bo ciebie dziś aż rozsadza...

Sophie w duchu przyznała jej rację. Skończyła układać weselne kompozycje, poprawiła imponujący bukiet do foyer i poszła popatrzeć na ślub.

Uroczystość była skromna, ale bardzo piękna. Parma młoda olśniewała urodą, a ślubny bukiet z pąsowych i różowych kwiatów idealnie harmonizował z jej pąsową suknią. Pan młody miał czarny smoking, a w butonierce pąsowy kwiat. Sophie czuła, że ma łzy w oczach, więc odwróciła głowę i wtedy zobaczyła uśmiechniętego Bryna, który podał jej chusteczkę.

- Zawsze płaczesz na weselach?
- Wcale nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Zostaw mnie w spokoju.
- Nie po to cię szukałem, żeby teraz dać ci spokój. Wiem, że już ułożyłaś wszystkie kwiaty...

- I co z tego?
- Chcę cię zaprosić do siebie, kochanie. Chyba że masz jakieś obiekcje.
Spojrzała na niego wzrokiem, który mówił, że nie ma absolutnie żadnych.
Byli zachwyceni, a jednocześnie zaskoczeni temperaturą swoich uczuć.

- Nie sądziłem, że spotkam taką kobietę jak ty – wyznał Bryn któregoś dnia. - Dlatego wciąż trudno mi uwierzyć w szczęście. Wydaje mi się, że to bajka, która prędko się skończy.

Sophie spojrzała na niego zaniepokojona i odniosła wrażenie, że w jego oczach widzi cień strachu. Tuląc go mocno, czuła jakieś napięcie, którego nie rozumiała, ale nad którym nie chciała się zastanawiać. Uważała, że Bryn kocha ją tak, jak gdyby była jedyną istotą na ziemi godną pożądania. Uspokoila się myślą, że wyobraźnia płata jej figla i że nic ich nie dzieli. Była przekonana, że ich miłość będzie trwać wiecznie.

Niestety! Wieczna miłość skończyła się w sobotę.

W soboty zwykle od samego rana zaczynał się ożywiony ruch, gdyż tego dnia wiele osób kończyło lub zaczynało urlop. Sophie przysłała do ośrodka o dziewiątej, ale nigdzie po drodze nie zauważyła Bryna. Miała zamiar jak najprędzej ułożyć kwiaty przeznaczone do foyer, a potem, jeśli się uda, zjeść lunch w towarzystwie ukochanego.

Ostatnio Bryn zawsze zaglądał do niej pod byle pretekstem najpóźniej w przeciągu kwadransa. Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, za ile minut go zobaczy.

Zjawił się po pięciu minutach z miną, która mówiła, że bajka się skończyła. Jego twarz miała wrogi wyraz, a oczy były jak kawałki lodu. Nigdy go takim nie widziała, więc zastygła z ręką wyciągniętą po kwiat.

- Witam - zdołała wykrztusić.
- Jeszcze tutaj jesteś? - wycedził zimno.

Czuł się okropnie, ponieważ i dla niego szczęście się skończyło, ale pocieszał się, że była to bańka mydlana, która musiała pęknąć. Nie mógł jednak odżalować, że dał z siebie coś, co chronił przez lata.

- Nie... rozumiem... - wyjąkała przerażona.
- Dostałaś to, po co przyszłaś - syknął jadowitym tonem - więc nie ma powodu, żebyś tu dłużej była.
- Ale... co się stało?

Patrzył na nią, jak gdyby widział ją pierwszy raz.

- Przed chwilą dzwonił Lleyton. Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Wiesz, ile to będzie mnie kosztować?

- Co?
- Nie zgrywaj niewiniątka - warknął. - Lleyton twierdzi, że namawiasz Draffusa, żeby zmienił plany. On sam nie zgadzał się na jakiegokolwiek zmiany, ale jego żona uważa, że ślub w kościele byłby bardziej romantyczny i w końcu przeciągnęła go na swoją stronę.

- Ale...
- Zainwestowałem w przygotowania sporo forsy, a ty myślisz, że możesz bezkarnie się wtrącać. To będzie mnie bardzo drogo kosztować...

Nie spuszczać z niego wzroku, powoli wstała. Miotaly nią sprzeczne uczucia i nie wiedziała, co jest najważniejsze. Zirykowało ją, że tyle spraw wchodzi w grę, a Bryn mówi jedynie o kosztach. Nie domyślała się, że za jego gniewem z powodu straty pieniędzy kryje się żal i dawna głęboka rana.

- Myślisz tylko o sobie!
- Czyżby? - Rzucił jej pogardliwe spojrzenie. - Zaplanowałem galę, jakiej nie było. Z całego świata ściągam dziennikarzy i fotografów, aby uwiecznili tę milenijną uroczystość; niektórym opłaciłem już podróż i zarezerwowałem nocleg. W związku z różnicą czasu o pół dnia wyprzedzimy Anglię i Stany Zjednoczone, więc dziennikarze będą mieli czas na przygotowanie artykułów do pierwszych styczniowych numerów. Miałem szansę znaleźć się we wszystkich ważniejszych pismach ilustrowanych na świecie...

- I... w tym celu... potrzebni ci Claire i Draffus?
- Ich wesele jest tylko częścią tego, co zaplanowaliśmy, ale fotografów udało się namówić na przyjazd, bo obiecałem, że będzie to ślub tysiąclecia. I co teraz? Mam mówić, że kłamałem?
- Możesz powiedzieć, że państwo młodzi się wycofali. Przecież to się zdarza.

- Ale ty im w tym pomogłaś! - Zamknął jej rękę w żelaznym uścisku. - Czy po to przyjechałaś, żeby mi ukraść ten ślub? Jeśli tak, to dlaczego spałaś ze mną? Czy twoja przewrotność nie ma granic?

Mówił z taką nienawiścią, że Sophie postanowiła wyznać prawdę. Uważała, że tyle jest mu winna, chociaż wcale nie była pewna, czy ją zrozumie.

- Rzeczywiście przyjechałam po to, żeby odebrać ci ten ślub - zaczęła prawie szeptem. - Chciałam tego od początku, a umocniłam się w zamiarze, gdy się okazało, że Claire marzy o ślubie kościelnym. Potem ulżyło mi, gdy jej ojciec nie zgodził się na żadną zmianę. Claire była rozczarowana, ale... ja myślałam, że to ostateczna decyzja i że... jednak nic złego nie zrobiłam. A jeśli chodzi o... ja cię kocham...

Bryn odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Dlaczego? - spytał martwym głosem.

- Dlaczego cię kocham?

- Nie udawaj głupiej - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Czemu kopałaś pode mną dołki?

- Wcale tego nie robiłam.

- Zrobiłaś i chcę wiedzieć dlaczego.

- To miał być dwutysięczny ślub udzielony przez mojego dziadka! - zawołała - W czasach mojego dzieciństwa młodzi musieli długo czekać w kolejce i zdarzało się, że w ciągu tygodnia dziadek udzielał dwóch, nawet trzech ślubów. Claire i Draffus mieli być dwutysięczną parą, którą pobłogosławi w pierwszy dzień nowego tysiąclecia i ostatnią, którą złączy przed przejściem na emeryturę.

- Podjęłaś pracę u mnie, żeby do tego doprowadzić?

- Nie moja wina, że Claire chce wziąć ślub kościelny.

- Obiecałaś im darmowe kwiaty i reklamę, prawda?

- Tak.

- W moim ośrodku reklama będzie lepsza.

- Ale mojemu dziadkowi zależy na tym ślubie! Nie chce się do tego przyznać, ale wiem, jak bardzo. Claire też. Jeśli im to wyperswadujesz...

- Jestem człowiekiem interesu - rzekł głucho.

- Ja również - rzuciła gniewnie. - Ale mam serce i zawsze wiem, po czyjej powinno być stronie.

- Po czyjej jest teraz?

- Po stronie dziadka i Claire - szepnęła. - Sytuacja przedstawiałaby się inaczej, gdyby Claire wystarczyła uroczystość cywilna, ale ona marzy o ślubie w kościele. Przykro mi, Bryn, ale tak sprawy stoją.

Wiedziała, co jej powie, więc nie zdziwiła się, gdy warknął:

- Zostaw kwiaty i wynoś się z ośrodka.
- Już idę.

Od rana do wieczora powtarzała sobie, że tak musiało się stać, że nie było innego rozwiązania, ale czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Natomiast dziadek poweselał. Nucąc „Marsza weselnego”, przygotowywał kazanie dla nowożeńców i co chwila się uśmiechał. Claire przyjechała, aby osobiście zapytać, czy wielebny pastor udzieli jej ślubu.

- To takie dobre dziecko - rzekł pan Connell po jej odjeździe. - Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o jej narzeczonemu.

- Państwo Lleytonowie go cenią.

- Naprawdę? - Pastor posmutniał. - Byłoby lepiej, gdyby przyjechał razem z nią, ale widocznie młodzi są przekonani, że tak też jest dobrze.

- Dziadku, tylko nic nie zmieniaj - gniewnie wtrąciła Ellie. - Wiesz, że Claire chce wyjść za Draffusa, a Sophie stawiała na głowie, żebyś ty mógł ich pobłogosławić. Dojdzie do ślubu, nawet gdybym siłą musiała doprowadzić państwa młodych przed ołtarz.

Ellie zatrudniła wszystkich przy sprzątanii kościoła, więc pomagał nawet Joe. Oczywiście, opowiedział się po stronie Claire, która przyjeżdżała codziennie. Nie posiadała się z radości, że ślub odbędzie się tak, jak sobie wymarzyła.

Któregoś dnia pastor zapytał:

- Jaką muzykę panna młoda sobie życzy?

- Chcę, żeby Joe grał na kobzie - odparła bez namysłu.

- Żartujesz! - zawołał speszony Joe.

- Wcale nie. Pamiętam, jak grałeś w szkole i jestem pewna, że nadal ćwiczysz. -

Uśmiechnęła się nieśmiało. - Według mnie zawsze grałeś cudownie.

- Ale...

- Czy włożysz prawdziwy szkocki kilt, jeśli uda mi się taki zdobyć? - Podeszła i pocałowała go w policzek. - Bardzo cię proszę.

- Co na to... twój narzeczonemu... i rodzice?

- Zostawili mnie bez pomocy, wszystko na mojej głowie, więc muszą pogodzić się z moją decyzją - odparła wyjątkowo stanowczo. - Chcę, żebyś wystąpił w tradycyjnym szkockim stroju. Zrobisz to dla mnie?

Joe nie potrafił jej odmówić. Sophie podejrzewała, że nie odmówiłby niczego. Claire uśmiechnęła się radośnie i pieszczotliwym gestem przesunęła palcem po bliźnie. Joe wzdrygnął się, a Sophie zrobiło się go żal.

Późnym popołudniem Joe odwiózł Claire i wrócił do ośrodka. Pan Connell położył się, Ellie pojechała do domu, ale Sophie nadal sprzątała, ponieważ czuła, że bez jakiegoś zajęcia oszaleje z rozpaczy.

Nieoczekiwanie znowu zjawił się Joe. Patrząc na niego, uświadomiła sobie, że nie tylko ona przeżywa trudne chwile. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego, a gdy wyjawiał, co jest tego przyczyną, załamała rękę.

- Mam bardzo złą wiadomość - rzekł ponurym głosem. - Zmieniono plany i ślub będzie jednak w ośrodku.

Przerwała sprzątanie, wstała i wpatrywała się w niego wielkimi oczyma w pobladłej twarzy.

- Co?

- Bryn zaproponował młodemu bezpłatne wesele, a do pana Lleytona zadzwonił i podał listę zaproszonych znakomitości. Taką samą listę pokazał Colinowi. - Joe jęknął.

- Czy ty naprawdę sądziłaś, że z nim wygrasz? Zaprosił gwiazdy ekranu i estrady i kilku dalszych krewnych europejskich monarchów.

- Ale... Claire... tego nie chce.

- Oczywiście. - Joe ledwo panował nad sobą. - Zadzwoniła do mnie i z płaczem mi to powiedziała, ale nie wyobraża sobie, żeby mogła sprzeciwić się takim despotom jak ojciec i Colin...

- I Bryn...

- Bryn myśli tylko o interesach.

- Ale żeby do tego stopnia...

Ogarnął ją niesmak, ponieważ człowiek, którego pokochała, okazał się bezwzględny i wyrachowany, gotów dla zysku zrobić wszystko.

- Claire się załamała... źle się czuje i dopiero jutro przyjedzie, żeby powiedzieć o tym twojemu dziadkowi, ale ja uznałem, że powinienem cię uprzedzić.

- Dziękuję - rzuciła przez ramię.

- Dokąd idziesz? - spytał, a gdy zaczęła biec, krzyknął: - Na litość boską, pamiętaj, że Claire ma już dość! Przez was jej życie stało się piekłem!

Bryn leniwie pływał w basenie, więc usiadła w cieniu drzew i czekała, aż wyjdzie. Nie mogła pogodzić się z tym, że tacy ludzie jak on wykorzystują innych do swych celów, wcale nie widząc, że wyrządzają komuś krzywdę. Robiło się jej niedobrze, dusiła ją złość, tym bardziej że w oczach miała radosną twarz dziadka, a w uszach śmiech Claire. Bryn wyszedł i skierował się do swego mieszkania, a wtedy zastąpiła mu drogę.

- Ty tutaj? - Pobladł i cofnął się o krok. - Czego chcesz?

Wcześniej wiedziała, co mu powie, lecz teraz rozsądzała ją taka wściekłość, że wszystko zapomniała. Na próżno starała się opanować. Zamachnęła się, wymierzyła Brynowi siarczasty policzek i wybuchnęła płaczem.

- Ty gadzie! - rzuciła przez łzy. - Ty parszywy, wyrachowany gadzie...
- Sophie...

Schwycił ją za rękę, lecz się wyrwała.

- Jak śmiesz! Ty...

.. .gadzie - dokończył jakby rozbawiony i oczy triumfalnie mu rozbłysły. - Nie histeryzuj, bo i tobie, i mnie chodziło o własny interes. Mnie się powiodło i wygrałem.

Ze złośliwą ironią pomyślała, że niedawno, gdy bał się, że straci mnóstwo pieniędzy, nie zachował zimnej krwi.

- Nic nie widzisz poza mamoną - syknęła. - Tylko dolary, interesy, reklama. Nikt i nic poza tym cię nie obchodzi.

- A kto i co ma mnie obchodzić?

Spojrzała na niego zaskoczona i zorientowała się, że on nie rozumie, o co jej chodzi. Miał taki wyraz twarzy, jakby istotnie nie pojął nic z tego, co powiedziała. Dziwiła się, że mogła pokochać takiego zimnego człowieka.

- Na przykład Claire. Marzyła o tym, żeby wziąć ślub w kościele, ale dla ciebie to nieważne, prawda?

- Sama z sobą ślubu nie weźmie, a jej narzeczony chce, żeby wszystko odbyło się w ośrodku. Jeśli ona ma coś przeciwko temu, może się sprzeciwić.

- Taka łagodna owieczka?

- Widziałem ją tylko raz, więc nie wiem, czy owieczka.

- Chodzi również o mojego dziadka - ciągnęła bardziej opanowanym głosem. - Dziadek objął tę parafię przed trzydziestoma laty. Była duża, ale zamierzał spędzić tu tylko kilka lat i się przenieść. Był ambitny, jak ty...

- Co to ma do rzeczy?

- Nie przerywaj. Zamknij się i słuchaj. Jeśli nie chcesz po dobroci, wezmę megafon i będę krzyczeć na cały ośrodek.

- Ja...

- Moi rodzice zginęli w wypadku, gdy byłam malutka -podjęła, jakby mówiła do siebie. - Dziadek był wdowcem i miał szansę zostać biskupem, ale po katastrofie powiedział swoim zwierzchnikom, że awans go nie interesuje. W przeciwieństwie do ciebie uznał, że jest coś ważniejszego niż pieniądze i bezwzględna ambicja...

- Nie...

- Osiadł w Marlin Bluff na stałe i spędził tu resztę życia. Zrobił, co mógł najlepszego. Ellie i mnie zapewnił szczęśliwe dzieciństwo, a swoim parafianom

szczerą posługę. Udzielał im ślubów i odprowadzał na wieczny spoczynek. Troszczył się o wszystkich jak o własną rodzinę. Nic nie było za trudne...

- To nie...

- Potem w Marlin Bluff zaszły zmiany - mówiła z goryczą. - Ludzie zaczęli się wyprowadzać, ale dziadek nadal był zadowolony z życia. Do czasu, gdy zniknęli ostatni parafianie, a pojawił się Bryn Jasper i jego przeklęty ośrodek czasowy. Co dziadkowi pozostało?

- Przecież i tak idzie na emeryturę...

- Owszem. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Ale nie ma parafian, którzy by go pożegnali. Została jedna młoda kobieta, Claire Lleyton, która myśli podobnie jak ja. Chce wziąć ślub w kościele i wie, że dla dziadka byłoby to godne zakończenie pracy duszpasterskiej.

Umilkła, lecz tym razem Bryn się nie odezwał. Pomyślała, że to, co jej wydaje się straszne, w jego oczach wcale nie jest tragedią. Chodziło jedynie o smutek starego mężczyzny i bezradność młodej kobiety.

- Dziadek odżył, gdy Claire poprosiła go, żeby udzielił jej ślubu - powiedziała ciszej. - To wprawdzie nie byłoby pożegnanie przez całą parafię, ale jednak pożegnanie. I to miał być dwutysięczny ślub, jakiego by udzielił, pierwszy w nowym roku i ostatni w jego życiu. - Zerknęła na Bryna. - Ale ani radość starego pastora, ani życzenia młodej kobiety nie liczą się, gdy w grę wchodzi pieniądze i plany bezwzględego dorobkiewicza. Dla ciebie i Colina ważne są tylko konta bankowe, chorobliwa ambicja, pragnienie rozgłosu... - Urwała na chwilę. -Przyznaję się, że przyjechałam, żeby ci popsuć szyki, ale tak dyktowało mi serce. A tobie nawet do głowy nie przychodzi, że często pieniądze niszczą coś cennego, czego nie da się odzyskać.

- Sophie...

- Nie chcę zapłaty za moją pracę tutaj - rzekła stanowczo. -Udławiłabym się tymi pieniędzmi, a wolę, żeby ciebie to spotkało. Chodziło mi tylko o to, żeby dziadkowi sprawić przyjemność. I... myślałam... że cię... Kocham, ale ty... Nie jesteś mnie wart.

Odwróciła się na pięcie i po chwili zniknęła w ciemności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez całą noc Bryn nie zmrużył oka.

Po odejściu Sophie długo patrzył w ślad za nią, jak gdyby wzrokiem chciał przebić mrok. Zastanawiał się, czy powinien ją dogonić i porozmawiać. Przez głowę przelatywały mu różne obrazy, których nie umiał powiązać w logiczną całość.

Dwa z nich walczyły o pierwsze miejsce.

Na jednym była piękna kobieta, która podjęła pracę u niego tylko i wyłącznie po to, aby łatwiej zrealizować swe zamierzenie. Nie wątpił, że przyjechała z mocnym postanowieniem, iż zburzy jego plany i nie dopuści do tego, aby w ośrodku odbył się szumny milenijny ślub.

Zastanawiał się, czy zawsze uśmiechała się do niego jedynie z wyrachowania i z radości, że udało się go oszukać. Jeszcze gorsze było przypuszczenie, że z tych samych pobudek została jego kochanką. Zupełnie nie wiedział, co o tym myśleć.

Podejrzewał, że osoba, która podejmuje pracę wyłącznie po to, aby oszukać pracodawcę, jest zdolna do wszystkiego. Lecz nie lubił się okłamywać i musiał przyznać, że potrafi zrozumieć takie postępowanie, gdyż sam bywał bezwzględny, aby się dorobić i zostać współwłaścicielem kilku najdroższych hoteli na świecie. Były okresy, gdy poważnie wątpił, czy posiada jakiegokolwiek zasady moralne, lecz nigdy nie posunął się tak daleko, jak Sophie.

Wiedział, że gdyby nie zaangażował się uczuciowo, obserwowałby ją chłodnym okiem i zapewne domyślił się, o co jej chodzi. Boleśnie zraniła jego uczucia, ale odpłacił jej pięknym za nadobne, gdy namówił ojca oraz narzeczonego Claire, by wrócili do pierwotnego planu. Lista sławnych gości okazała się niezawodną przynętą. Dawno temu nauczył się, jak należy postępować z niektórymi ludźmi, aby robili to, na czym jemu zależy. Skoro udało mu się osiągnąć cel, Sophie musi pogodzić się z porażką.

Rozgrzeszył sam siebie.

Na drugim obrazie była inna Sophie: ta, która roześmiana robi orła w błocie, ze łzami w oczach obserwuje ślub, śpi w jego ramionach... Uparcie powtarzał, że nie może jej ufać i od początku czuł, iż szczęście prędko minie. Rzeczywiście, szybko się skończyło.

Dość długo trwało, nim zrozumiał, że dla Sophie sprawa ślubu nie była jedynie kwestią interesów i że ucierpieli niewinni ludzie: stary pastor oraz panna młoda.

Przewracał się z boku na bok, aż wreszcie uznał, że nie zaśnie. Wstał, zabrał psy i poszedł plażą w stronę kościoła. W plebanii na piętrze paliło się światło, co oznaczało, że Sophie też nie śpi.

- Okropnie mnie wykorzystała - poskarżył się Bryn psom, które przekrzywiły łby i popatrzyły na niego, jakby mu nie wierzyły. - W interesach wszystkie chwytby są dozwolone, prawda?

Usiadł na piasku, a Goggle położył mu łapę na kolanie i patrzył, jakby rozumiał, co pan do niego mówi, lecz nie zgadzał się z tym, że Sophie jest wyrachowana.

Bryn zastanawiał się, czy naprawdę postąpiła tak z miłości. Twierdziła, że zrobiła to dla starego pastora, którego on jakby nie zauważył i dla panny młodej, której życzenia nie wziął pod uwagę.

- Czy ja muszę zauważać potrzeby innych? - mruknął pod nosem. - Jeśli moje ośrodki mają przynosić zysk, nie mogę kierować się sentymentem. Psy zaczęły skomleć.

- Cicho, nie hałasujcie. Zaraz wracamy.

Przymknął oczy, zobaczył rozgniewaną Sophie i usłyszał jej słowa: „Tak dyktowało mi serce”.

Jego własne serce mówiło mu, że nie kłamała. Jednak rzutki przedsiębiorca nie powinien słuchać serca, lecz rozumu. Zainwestował mnóstwo pieniędzy i wysiłku w milenijne uroczystości, zaprosił wiele ważnych osób, więc nie mógł pozwolić sobie na fałszywy krok. Jedna nieprzemyślana decyzja mogła zaszkodzić przyszłości ośrodka.

- Nie ufam samemu sobie - rzekł na głos.

Jeszcze przed kilkoma dniami łudził się, że spotkał kobietę, z którą spędzi resztę życia. Niestety, owa nierealna nadzieja prysła i dlatego przestał słuchać głosu serca.

Światło w oknie zgasło i plebania pograżyła się w ciemności. Bryn jeszcze przez chwilę wpatrywał się w czarny prostokąt okna, a potem ociężale wstał i ruszył z powrotem. Wyjątkowo zabrał psy do mieszkania i pozwolił im spać na swoim łóżku. Dogi natychmiast zasnęły, on zaś leżał z otwartymi oczyma. Odsuwał od siebie myśli o Sophie i starał się zająć głowę sprawami zawodowymi, ale to mu się nie udało.

Sophie zasnęła nad ranem, gdy dziadek wychodził z psami, ale spała bardzo lekko, więc usłyszała, że wrócił, odebrał telefon i kogoś pociesza. Domyśliła się, że zadzwoniła Claire.

Po skończonej rozmowie pan Connell uchylił drzwi sypialni i cicho zapytał:

- Sophie, śpisz?

- Nie, dziadku. - Poczowała, że ma łzy w oczach. - Obudziłam się przed chwilą.

Przysiadł na łóżku i objął ją serdecznym gestem, jaki pamiętała z dawnych lat.

- A więc wiesz.

- Joe mi powiedział.

- Dziecko, nie bierz sobie tego do serca. To ślub Claire, więc niech odbędzie się tam, gdzie ona chce.

- Ale wiesz, że pragnęła, żebyś ty ją pobłogosławił.
- Wiem tylko, że nie chce sprawić przykrości ojcu i narzeczonemu, więc nie możemy jej w tym przeszkadzać.
- To miała być uroczystość również dla ciebie!
- Uczymy trzydziestolecie mojej pracy duszpasterskiej jakoś inaczej. W milenijny wieczór możemy urządzać piknik i w ten sposób świętować moje przejście na emeryturę.

Sophie skinęła głową, chociaż uważała, że piknik będzie żalosną namiastką ślubu. Podejrzewała, że spędzą wieczór w gronie rodziny, popatrzą na sztuczne ognie i posłuchają muzyki, dobiegającej z ośrodka, który niebawem wszystko zagarnie. Zdobyła się na smutny uśmiech i wzięła rękę dziadka w dłonie. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi frontowych i głośnie ujadanie.

- To pewno Joe. Wczoraj był bardzo przygnębiony.
- Ja mu otworzę.

Pastor poszedł wpuścić gościa i po chwili z dołu doszedł przyciszony szmer głosów i coraz gwałtowniejsze szczekanie.

Przed wyjazdem Sophie chciała jeszcze pomóc dziadkowi przy przeprowadzce do Port Douglas, więc postanowiła, że bilet do Nowego Jorku zarezerwuje na czwartego lub piątego stycznia. To już niedługo.

Wyrzucała sobie, że trudno jej wyjechać, ponieważ zakochała się w wyrachowanym człowieku, który jej dziadkowi zatruwa ostatnie lata życia. Nie rozumiała, co ją opętało. Wiedziała przecież, że Bryn nigdy długo nie pozostawał wierny jednej kobiecie. Pamiętała, że unieszczęśliwił wiele kobiet przed nią, a mimo to padła jego ofiarą. Czuła na przemian gniew i upokorzenie, ale najdotkliwiej bolała ją pustka w sercu.

Poszła do łazienki, aby wziąć zimny prysznic. Naraz drzwi lekko się uchyliły.

- Sophie?
- Słucham?
- Jasper chce z tobą pomówić.
- Bryn?
- Tak.
- Nie mam najmniejszej ochoty.
- Zrób to dla mnie. I przyjdź jak najprędzej, bo jego psy zniszczą mi ogród.
- Przyprowadził oba dogi?
- Tak. Najpierw chciał zamienić kilka słów ze mną, a teraz tobie ma coś do powiedzenia.
- Nie jestem ciekawa!

- Sophie! - W głosie pana Connella zabrzmiała stanowcza nuta. - Proszę cię, zrób to choćby ze względu na moje grządki.

- Jestem mokra.
- To się wytrzymaj.
- Dziadku, nie mogę przyjść. Nie chcę.
- Nie marudź. Czekamy na ciebie. Zejdź i spokojnie wysłuchaj Jaspera.

Pospiesznie wytarła się i ubrała. Zrobiło się jej gorąco, czuła, że ma wypieki, więc opryskała zaczerwienione policzki zimną wodą. Zastanawiała się, co Bryn może mieć do powiedzenia.

Poszła do kuchni bosą, bez makijażu, z mokrymi włosami. Bryn siedział przy stole i pił herbatę z dużego kubka. Wstał, gdy weszła, lecz nie przywitała się z nim.

Nie patrzyła na niego, aby nie mógł nic wyczytać z jej oczu. Przecież nadal go kochała, chociaż próbowała go oszukać, ale on ją przechytrzył.

- Dziadek twierdzi, że masz jakąś sprawę do mnie - rzekła martwym głosem.
- Owszem, mam.
- Dziwne. - Drgnęła, gdy znowu zaszczeptały psy i gniewnie dorzuciła: - Czemu przyprowadziłeś dogi?
- Bo Joe nie przyszedł, a potrzebują trochę ruchu. - Nerwowo przyglądał włosy.
- Jakby nie było wystarczająco dużo kłopotów, jeszcze mój najlepszy pracownik musiał się rozchorować.

- Joe zachorował? - Nareszcie spojrzała na niego. - Co mu jest?
- Nie wiem. Rano zadzwonił i powiedział, że nie może przyjść do pracy. Ostatnio marnie wyglądał, więc pewno złapał grypę.

Sophie przypomniała sobie, jak wyglądał poprzedniego dnia i doszła do wniosku, że musiało zdarzyć się coś gorszego niż grypa, ale wołała nic nie mówić.

- Czego chcesz ode mnie? - rzuciła rozdrażniona.
- Wybaczcie. - Pan Connell wstał. - Psy znowu szaleją, więc wyjdę...
- Wcale ci się nie dziwię. - Sophie skrzywiła się. - Taki jazgot...
- Zabiorę psy na spacer, żebyście sobie mogli spokojnie porozmawiać.
- Nie mamy o czym.
- Macie. - Dziadek popatrzył na nią poważnym wzrokiem. - Pan Jasper wystąpił z propozycją tak niebywałą, że muszę się przejść. Kochanie, słuchaj wszystkiego uważnie i zapamiętaj każde słowo. Idę, bo kręci mi się w głowie. Ty zostajesz i będziesz słuchać.

Starszy pan odezwał się do psów spokojnym, ale stanowczym głosem i dogi natychmiast się uspokoiły. Bryna ogarnęło zdumienie.

- Cholera, mnie nigdy nie słuchają. Jakim cudem...?

- Dziadek umie obchodzić się z psami. - Pochyliła się i pogłaskała Lily, mówiąc:
- Wiemy coś o tym, prawda?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Przepraszam za to, że wczoraj cię spoliczkowałam - odezwała się Sophie niepewnym głosem.

- Wybaczam.

- Jesteś bardzo łaskawy.

- Lubię być wspaniałomyślny.

- Doprawdy?

- Owszem. Czy wrócisz do ośrodka i zajmiesz się kwiatami? Mamy wyjątkowo kapryśną pannę młodą, która wymyśliła sobie bukiet z żonkili. Wiesz, gdzie tu w grudniu można dostać żonkile?

- Nigdzie. I na jutro nie sprowadzimy... nie sprowadzisz ich zza oceanu.

- Ale jestem pewien, że ty, najdroższa, zdołasz je wyperswadować tej pannie. Masz do tego szczególny talent.

Patrzyła na niego nieufnie, gdyż podejrzewała, że teraz on knuje coś, czego ona nie rozumie.

- Zapomniałeś, że jestem niesubordynowana?

- Pamiętam, ale to mi nie przeszkadza, bo okazało się, że potrafię to znieść.

- Już nieźle się popisałam, a ty...

- A ja nie pozostałem ci dłużny. - Roześmiał się. - Jestem mistrzem w tej dyscyplinie. Potrafię kopać dołki równie dobrze, jak ty robić orły w błocie.

- Kpisz ze mnie w żywe oczy, i to u nas w domu...

- Kochanie... - Wyciągnął ku niej rękę, lecz odsunęła się jak oparzona. -

Posłuchaj.

- Ja...

- Obmyśliłem pewien plan.

- Nie interesuje mnie.

- Wczoraj kazałaś mi się zamknąć i słuchać. Byłem posłuszny i dzięki temu pewne sprawy ujrzałem w innym świetle. Teraz twoja kolej.

- Ale...

- W styczniu miała być aukcja i na pewno wiedziałaś, że chcę wszystko nabyć. Miałem zamiar czekać, żeby dostać taniej, ale dziś rano zadzwoniłem do władz kościelnych i zaproponowałem bardzo wysoką cenę, jeśli od razu zostanę właścicielem. Wykupiłem plebanię, kościół, cały teren.

- Tak od razu? - Sophie śmiertelnie pobladła. - Ale...

- Muszę mieć wszystko natychmiast, bo inaczej nie przeprowadzę swojego planu. Zostały dwa tygodnie, w tym Boże Narodzenie, gdy nic nie można zdziałać. Zależy mi na tym, żeby ludzie od razu przystąpili do roboty.

- To znaczy... - Zerwała się i odskoczyła od stołu. -Chcesz, żebyśmy zaraz się stąd usunęli? Jeszcze dzisiaj?

Bryn nawet nie drgnął, ale patrzył na nią z napięciem.

- Nie. Właśnie o to chodzi, że wcale nie musicie. Twój dziadek może mieszkać tu, jak długo zechce. Prawdę powiedziawszy, liczę na to, że zostanie, bo pastor jest mi potrzebny.

- Co? - Z wrażenia to czerwieniła się, to bladła. - Nic nie rozumiem.

- Byłem ślepy, beznadziejnie ślepy - wyznał Bryn. - Gdy budowałem ośrodek, kościół nie był na sprzedaż, więc przestałem się nim interesować. Wybudowałem piękny ośrodek, prawda? A gdy dowiedziałem się, że mogę dokupić ziemi, zacząłem się zastanawiać, co mógłbym tu urządzić. Stale podróżuję, więc tutaj nigdy dobrze się nie rozejrzałem i nie zorientowałem, że Marlin Bluff Resort ma szansę być wyjątkiem.

- Nic nie pojmuję.

- W nocy nie mogłem spać, więc myślałem. A rano poszedłem do pałacu ślubów, pierwszy raz uważnie go obejrzałem i zobaczyłem, że jest idealny na wesela, ale ziele tam pustką, nie ma żadnej atmosfery podnoszącej urok ślubu.

- Jest bardzo ładny.

- Ale typowy, jak inne. Pewno dlatego dużo par woli brać ślub na plaży albo w górach, a w pałacu urządza tylko wesele. Kłopot jest, gdy pada, a zresztą ludzie na ogół chcą brać ślub pod dachem.

Sophie kręciło się w głowie, więc, aby nie stracić równowagi, oparła się o ścianę.

- Nad ranem przyszedłem tutaj i długo oglądałem kościół z zewnątrz, potem wszedłem do środka i zrozumiałem twój zarzut... że pieniądze zniszczą coś cennego, czego niczym nie da się zastąpić.

- Więc, co masz zamiar zrobić? - spytała cichym głosem.

- Raczej, co zrobiłem.

- Czyli?

- Kupiłem kościół i przeprowadziłem rozmowę z pastorem. zaproponowałem twojemu dziadkowi dom i pensję, do czasu gdy naprawdę zechce przejść na emeryturę, a potem jakoś się dogadamy, żeby mógł tu zostać do śmierci. Pytałem, czy ma coś przeciwko ślubom w różnych obrządkach, czy gotów jest błogosławić wszystkim wierzącym chrześcijanom.

- Zawsze to robił. Łączenie młodych par jest dla dziadka najmiłą posługą. I co, zgodził się?

- Tak. Jeśli zechce, będzie mógł odprawiać nabożeństwa dla naszych gości.
- Nie musi być emerytem i stąd odchodzić! Och, Bryn...
- I może udzielić milenijnego ślubu. - Bryn uśmiechnął się. - To już moja ziemia, więc naprawimy drogę do ośrodka i będzie ślub nad śluby. Tu ślub, tam wesele. Zobaczysz, jak będzie uroczyście i wspaniale. - Nagle oczy mu przygasły. - No, co ty o tym sądzisz?

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Gdyby Bryn wstał, rzuciłaby mu się w ramiona, lecz on nadal siedział. Oboje poczuli się skępowani.

Któreś z nich powinno zrobić pierwszy decydujący krok. Atmosfera sprzyjała przysięgom na całe życie. Sophie wyczytała w twarzy Bryna, że nie chodzi mu jedynie o plany, związane ze ślubem tysiąclecia.

- Jeszcze raz przepraszam za to, co wczoraj wygadywałam - szepnęła zażenowana.

- Dobrze się stało, więc nie ma za co. - Zawahał się i napięcie jakby się spotęgowało. - Jest tyle do zrobienia... czas wracać. - Wstał, lecz nie podszedł do niej.
- Przyjdiesz ułożyć kwiaty?

- Mam wrócić do pracy?

Bryn pragnął, aby wróciła do niego, lecz jeszcze się wahał, więc rzekł wymijająco:

- Nie radzę sobie bez ciebie.

Zabolało ją, że potrzebuje jej tylko służbowo, ale czego się spodziewała? Cudu? Nie, nie pragnęła cudu. Chciała jedynie, aby Bryn odwzajemnił jej miłość, lecz na to się nie zanosilo. To, co nie tak dawno przeżyli, zdawało się bardzo odległe. Czy to była bezpowrotna przeszłość? Kto ponosił winę i zniszczył uczucie, jakie ich łączyło? A może nie było żadnych uczuć? Może Bryn niedługo wyjedzie do innego ośrodka, do kolejnej kochanki? Teraz była mu potrzebna jedynie do układania kwiatów i upiększania ośrodka...

Wytarła wilgotne dłonie o spodnie. Doszła do wniosku, że jej uczucia się nie liczą i powinna zrobić to, o co Bryn prosi, skoro uratował dziadka, a jej zaproponował pracę. Należało przyjąć ofertę.

- Oczywiście, że przyjdę - powiedziała głucho. - Dziękuję ci... bardzo dziękuję za to, co zrobiłeś dla dziadka.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w nią, jakby chciał zachować jej obraz w pamięci, a potem odwrócił się i wyszedł bez pożegnania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wydał setki poleceń, zarządził, co i jak ma być zrobione i wyjechał do Francji, obiecując jednak dyrektorowi, że wróci pod koniec grudnia.

Sophie powtarzała sobie, że powinna być zadowolona z takiego obrotu sprawy, powinna się cieszyć, że otrzymała to, o co jej chodziło. Marzenia wszystkich miały się spełnić; pan Connell promieniał z radości, a Claire była zadowolona, ale dziwnie przycichła i nie zachowywała się tak impulsywnie jak dawniej.

- Genialne rozwiązanie - ucieszył się Joe i nawet zdobył się na pogodny uśmiech.
- Obiecuję, że drogę z ośrodka do kościoła zrobimy na medal. Twój dziadek chyba będzie z nas zadowolony.

- Dziękuję w jego imieniu. - Sophie odłożyła nie dokończoną wiankę i obrzuciła Joego uważnym spojrzeniem. - Jak się czujesz? Już dobrze?

- Oczywiście - zapewnił zbyt pośpiesznie. - Nic mi nie jest.

- Ale chorowałeś.

- Złapałem jakiegoś wirusa. - Wzruszył ramionami. - Czuję się rozbity, więc zmieniłem otoczenie i odetchnąłem innym powietrzem. Pracuję tu od półtora roku i to było moje pierwsze zwolnienie, więc dostałem bez dyskusji.

- Zwalczyłeś depresję?

- Chyba nie bardziej niż ty - odparł z ociąganiem. - Masz mocno podkrążone oczy. Czyżby dopadł nas ten sam wirus?

Sophie zamknęła oczy, ponieważ wystraszyła się, że łatwo wyczytać w nich prawdę. Gdy je otworzyła, Joe nadal patrzył na nią ze współczuciem. Jeżeli czuł się podobnie jak ona...

- Claire? - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

- A któż inny? - rzekł z goryczą. - Oczywiście, że ona...

- Kochasz ją?

- Każdy by się zakochał.

- Och! - westchnęła. - Powiedziałeś jej?

- Wolne żarty! - Joe zaklął i spojrzał na szyby, na których krople deszczu wyglądały jak łzy. - Co miałem jej powiedzieć? „Posłuchaj, Claire, wiem, że za tydzień wychodzisz za Draffusa, ale może jednak najpierw weźmiesz pod uwagę moją kandydaturę?” Oferta nie do odrzucenia: kulawy facet z gębą, której boją się wszystkie dzieci...

- Nieprawda, dzieci wcale się ciebie nie boją. I wiem, że byłbyś wspaniałym mężem.

- Głupstwa pleciesz. Nic z tego. W jej życiu nie ma miejsca dla mnie. Nie powiedziałem jej, bo nie znoszę litości.

- Ale...

- Nie ma o czym mówić. - Ton jego głosu świadczył, że temat skończony. - Zgodziłem się grać na kobzie, ale nic poza tym. Tobie lepiej, bo Bryn nikogo nie ma.

- Joe...

- Nie zaprzeczaj - powiedział łagodnie. - Wiem, że jesteś zakochana, bo mam oczy i znam cię. Krwawi ci serce, prawda?

- Tak. - Bezwiednie zaczęła oskubywać listki. - Rozumiesz mnie, bo oboje jesteśmy skromnymi ludźmi. Co wielkiemu Jasperowi po mnie?

- On jest głupcem.

- Może mieć każdą kobietę, jakiej pragnie. - Zadrżał jej głos. - Dlaczego miałby wybrać akurat mnie?

- Diabli nadali...

- Masz rację. Diabli nadali.

Nadeszło Boże Narodzenie, okres nadziei i radości.

Przez ostatnie pięć lat Sophie spędzała święta poza domem, więc Ellie uznała, że tegoroczne powinny być szczególnie uroczyste i wszyscy powinni być szczęśliwi. Zajęta przygotowaniami nie widziała, że siostra jedynie udaje radość. Pan Connell zauważył nastrój wnuczki i ukradkiem ją obserwował, lecz nie zadawał kłopotliwych pytań.

Bryn wyjechał do Francji, rzekomo w interesach, więc kilka dni poświęcił inspekcji w La Ville, a święta postanowił spędzić z matką. Pani Jasper bardzo się ucieszyła, chociaż w duchu nieco zdziwiła. Rzadko zdarzało się, by miała syna wyłącznie dla siebie.

- Mój drogi, czy coś ci się nie powiodło? - zagadnęła go w pierwszy dzień świąt.

- Skąd takie podejrzenie?

- Bo... - zawahała się, ponieważ syn nie lubił osobistych pytań. - Jesteś wyjątkowo milczący. Bardzo mi miło, że mam cię tylko dla siebie. Dawniej dużo czasu poświęcałeś rozmowom o interesach z wujami. Albo przyjeżdżałeś z... przyjaciółką. A teraz? Musiało zajść coś...

- Mamo!

- Chodzi o kobietę?

- Nie.

- Naprawdę, synu?

- Po co pytasz? - wybuchnął gniewnie. - Jasne, że chodzi o kobietę. Cholera by je wzięła!

- Ale...
- Nie ma żadnego ale.
- Jest mężatką?
- Nie.
- Więc co cię dręczy? Powiedz mi.

Bryn zacisnął pięści i odwracając wzrok, rzucił:

- Będę okropnym mężem.

Pani Jasper uznała, że tym razem sprawa jest poważna, więc zapytała:

- A mnie ona przypadnie do gustu?

- Skąd mam wiedzieć? - Gwałtownym ruchem potargał sobie włosy. - Jest inna niż te, które dotychczas znałem. Pokpiwa sobie ze mnie, krytykuje, zarzuca, że interesują mnie tylko pieniądze, rozgłos, władza. Nie wiem, czy mnie kocha, czy wykorzystuje, żeby osiągnąć swój cel. Oszukała mnie w pracy, obrzuciła zdechłymi meduzami, bo nie chciała, żebym ją pocałował i... - Potarł policzek. - Uderzyła mnie w twarz.

- Jest interesowna i spoliczkowała cię? Z tego wniosek, że ma niezły charakter.

Może Francuzka jak ja?

- Mamo!

- Przyznaj się, mój drogi, że wreszcie się zakochałeś.

- To nie ma przyszłości.

- Dlaczego?

- Czy jakąś kobietą interesowałem się dłużej niż przez miesiąc, dwa? Wiesz, że nie potrafię kochać. Nie to, co ty i ojciec. Od czasu Tiny i Elise...

- Rozumiem cię, ale pamiętaj, że z Tiną byłeś tak mocno związany, bo bliźnięta zawsze bardzo się kochają. Byliście nierozłączni, ale ona zmarła dziesięć lat temu - łagodnie tłumaczyła pani Jasper. - Potem sądziłeś, że zakochałeś się w Elise. Była fizycznie podobna do Tiny, ale chyba przyznasz, że nic sobą nie reprezentowała. W dodatku chodziło jej o twoje pieniądze, więc dobrze, że w porę się zorientowałeś. Od tego czasu, ilekroć z kimś się wiążesz, od razu zakładasz, że romans prędko się skończy. Nie ufasz nikomu i masz zatwardziałe serce, a czas, żeby ono znowu zmiękło i się otworzyło.

- Po co? - zawołał zdesperowany. - Mamo, nie wiem, czy jestem zdolny do prawdziwej miłości. Pierwszy raz czuję, że to byłoby możliwe, ale uważam, że jej nie znam i nie jestem pewien, czy mogę zaufać. Ty jesteś wyjątkową kobietą. Tina też była wyjątkiem. Nie chcę ponownie przyzywać tego, co po jej śmierci. Nie chcę, żeby jakaś kobieta...

- Czy ta „jakaś kobieta” ma imię?

- Sophie.
- Boisz się, że zarobisz drugi policzek?
- Nie zarobię.
- Skąd ta pewność?
- Bo romans się skończył.

Pani Jasper bacznie obserwowała twarz syna.

- Ty go zakończyłeś? I dlatego przyjechałeś do mnie na święta?
- Tak, ale...
- Skoro zerwaliście, czemu się martwisz, że byłbyś złym mężem?
- Ja nie mogę...
- Czy Sophie mieszka w Marlin Bluff?
- Teraz tak.
- Wiesz, chyba przyjadę na te wasze milenijne uroczystości.

Oczy pani Jasper wesoło rozbłysły. - Myślałam, że nie warto się fatygować tak daleko, ale jednak się wybiorę.

- Mamo, nie waz się wtrącać!
- Nie mam w zwyczaju. - Zrobiła obrażoną minę. - Czy kiedyś się wtrącałam?
- Szkoda, że ci powiedziałem, bo to historia bez przyszłości.
- Nie chcesz się wiązać, tak? A może boisz się, że znowu będziesz cierpieć?
- Jedno i drugie.
- Więcej odwagi, Bryn. Nie chcę mieć syna tchórza. Powiedz mi jeszcze tylko jedno: co będzie, jeśli nie zastaniesz Sophie w Marlin Bluff?
- Na pewno nadal tam jest.
- Ale założmy, że wyjedzie albo podczas twojej nieobecności ktoś wpadnie jej w oko. Co zrobisz, jeśli pokocha innego?

- Zamorduję go! - zawołał bez zastanowienia.

Pani Jasper roześmiała się i pokiwała głową.

- Wszystko jasne, moje dziecko. Uważam, że powinieneś skoczyć do Paryża i kupić swojej Sophie prezent. Złoty pierścionek z diamentem będzie najodpowiedniejszy.

- Mamo, litości! - Bryn załamała ręce. - Jakim ja mogę być mężem? Pół mojego serca obumarło po śmierci Tiny, a Elise zabiła resztę. Nie potrafię wzbudzić w sobie szczerej miłości i nie wierzę kobietom. Byłem na dobrej drodze do wyleczenia, ale Sophie mnie oszukała i znowu się zaciąłem. Nie jestem w stu procentach pewien, czy ona mnie kocha, i nie wiem, czy odważę się związać z nią na całe życie. Chyba mnie na to nie stać.

- Nie musisz się spieszyć. Obserwuj ją i poczekaj, czy nie zakocha się w innym - spokojnie doradziła pani Jasper. – Albo naucz się kochać, poddaj się miłości. Do tego trzeba dorosnąć i może Sophie jest jedyną osobą, która ci w tym pomoże.

Sophie nie mogła doczekać się powrotu Bryna, spodziewała się go w każdej chwili i miała nadzieję, że zaraz do niej przyjdzie. Irytowało ją, że zachowuje się jak usychający z miłości podłotek, lecz nic nie mogła na to poradzić.

Nadszedł dwudziesty siódmy grudnia i cały świat liczył godziny do końca roku. W ośrodku gorączkowo czyniono ostatnie przygotowania do milenijnych uroczystości. Natomiast Ellie przyjeżdżała codziennie i pomagała upiększać kościół. Wszędzie uwijali się malarze, dekoratorzy, ogrodnicy. Wszyscy pracowali z radością, więc Sophie zdawało się, że tylko jej jest ciężko na sercu.

Dwudziestego ósmego grudnia nadal nie było żadnego znaku od Bryna. Sophie ucieszyła się, gdy przyszła Claire w sprawie kwiatów i przy niej poczuła się lepiej. Claire miała niewielkie wymagania, więc właściwie ona zdecydowała o tym, jak ma wyglądać ślubny bukiet.

- Wybrałam dla ciebie białe gerbery, storczyki i zawciąg, morelowe róże i szparag pierzasty - powiedziała, układając kwiaty. - Popatrz. Taki bukiet powinien współgrać ze złotem na sukni i...

- Śliczny. - Claire nieśmiało dotknęła płatków. - Szkoda, że nie można tego powiedzieć o sukni.

- Suknia też jest piękna.

- Ale nie dla mnie.

- Będiesz w niej uroczo wyglądać.

- Naprawdę? - Claire obojętnie wzruszyła ramionami. -Najważniejsze, że Colinowi się podoba.

Sophie podejrzewała, że on nic nie widzi, że dla niego ważny jest szum wokół wesela i pieniądze, a Claire jest jedynie środkiem do osiągnięcia celu. Co będzie po ślubie? Claire była blada i przygaszona, jej twarz nie promieniała radosnym blaskiem szczęśliwej narzeczonej.

- Zaczynasz się wahać? - spytała zaniepokojona.

- Jakże bym śmiała?

- Kochasz Colina?

- Oczywiście. - Claire nerwowo splotła dłonie. - On sprawia, że czuję się... jak to powiedzieć... bezpieczna. Mówi mi, co mam robić i dzięki niemu w moim życiu będzie panował porządek.

- To najbardziej w nim cenisz?

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się blado. - Jestem przyzwyczajona, bo ojciec też zawsze mi mówił, co powinnam robić.

- Ale nikomu nie szkodzi, gdy czasem ma własne zdanie - cicho powiedziała Sophie. - W małżeństwie jest dwoje ludzi i są dwie opinie. Jeśli trochę nad nim popracujesz, może stać się także twoim przyjacielem, a nie tylko mężem.

- Och, nie, bo on... traktuje mnie jak... żonę. Nigdy nie rozmawia ze mną jak przyjaciel, nigdy tak jak Joe.

- Zaprzyjaźniłaś się z Joem?

- Tak. - Claire uśmiechnęła się promiennie. - Bez jego wsparcia zwariowałabym od tego niepotrzebnego zamętu.

Sophie żałowała, że nie może otworzyć jej oczu.

- No, wracajmy do obowiązków, bo trzeba uzgodnić, jak udekorujemy stoły.

- Czy to nie miało być ustalone dawno temu? - rozległ się głos za ich plecami.

Obie gwałtownie się odwróciły i Sophie krew odpłynęła z twarzy. Na progu stał Bryn.

- Witaj - powiedziała cicho.

- Dzień dobry. - Uprzejmie uśmiechnął się do Claire. - Myślałem, że wszystko już załatwione.

- Prawie. Omawiamy drobne szczegóły.

- Jeszcze nie zamówiłaś kwiatów?

- Zamówiłam! Mają przyjść jutro i pojutrze. Cały ośrodek w nich zatonie.

- Doskonale.

Skłonił się i wyszedł, a Claire pokręciła głową.

- Zmienił się. Gdy go poprzednio widziałam, był serdeczny.

- Może źle reaguje na raptowne zmiany klimatu. Dopiero co przyleciał z Francji.

- Ale...

- Nie przejmuj się nim.

Sama też nie powinna się przejmować, a mimo to przez resztę dnia stale miała przed oczyma jego chłodną, obojętną twarz. Bała się, że przestał zachowywać się przyjaźnie, ponieważ zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwał i już nie jest mu potrzebna.

Bryn inaczej wyobrażał sobie spotkanie z Sophie. Miał nadzieję, że będzie mógł patrzeć na nią jak na inne kobiety, lecz nie potrafił. Wydała mu się jeszcze piękniejsza i bardziej godna pożądania. Uczucia, jakie go ogarnęły, ledwo ją zobaczył, sprawiły, że zachował się chłodno, niemal impertynencko.

W nocy leżał bezsennie i przeklinał siebie za to, że nie może oderwać od niej myśli. Miał ogromną ochotę przyprowadzić ją do siebie, choćby przemocą, i zatrzymać na zawsze.

Na zawsze? Panicznie bał się tych słów. A jeszcze bardziej tego, że wyzna dozgonną miłość, a Sophie znowu go rozczaruje, może zdradzi? Bał się oddać jej całkowicie.

Słabo ją znał, więc nie rozumiał, dlaczego myśli o małżeństwie. Przerażała go myśl i o trwałym związku, i o tym, że Sophie poślubi innego mężczyznę. Posłuchał rady matki i kupił pierścionek, lecz schował go do sejfu.

- Niepotrzebnie się wykosztowałem - mruknął na głos. - Głupi pomysł. Hm, może jednak nic nie stracę, bo to jakby lokata kapitału. Wartość złota i diamentów rośnie, więc będzie spadek dla wnuków... Jakich wnuków!?

Jęknął, przewrócił się na bok i niebawem zasnął.

Telefon zadzwonił o trzeciej nad ranem, więc Sophie natychmiast wyskoczyła z łóżka. Pamiętała, że dziadek położył się wyjątkowo późno, ponieważ wieczorem przyszła Claire i długo z nim rozmawiała.

- Halo! Halo! - wołał Rick. - Sophie?
- Czemu się denerwujesz? - spytała zasnana.
- Dzwonię, żeby zapytać, czy na pewno wrócisz piątego.
- Dlaczego miałabym zmienić plany?
- Dotarła do mnie plotka, że Jasper cię omotał.
- Co takiego?
- Spadłaś mu jak z nieba, gdy był w potrzebie.
- Wiem.
- I rzucisz tę posiadłość?
- Tak, ale...
- Rozmawiałem dziś z dziennikarką, która wybiera się na wasze uroczystości. Według niej to będzie niebywała reklama dla Jaspera. A wiadomo, jaki on jest. Mówi się, że nabył kościół, żeby kupić ciebie.

- Wstrętne plotki. Nie widzę podstępu, bo kościół jest mu potrzebny, chce go odnowić...

- Wierzysz w takie bajki? Dziennikarka twierdzi, że interesuje go tylko parcela. Jest bezwzględny, więc myślę, że wykorzysta ciebie, a potem zrobi z kościołem, co zechce. Spisaliście umowę notarialną?

- Nie.

- Nie wiem, co ci naopowiadał, ale na pewno zależy mu na rozgłosie wokół ośrodka, a nie na kościele twojego dziadka. Do ostatniej chwili będzie cię zwodził, a

potem... Jeśli wyrzuci twojego dziadka pierwszego stycznia, czy mimo to przyjedziesz? Mam kłopotliwe zamówienia i jesteś mi bardzo potrzebna.

Sophie uśmiechnęła się ironicznie.

- Przyjadę. Nie powtarzaj steku bzdur, bo ja Brynowi ufam.

- Naprawdę? Bardzo dobrze, aleja na twoim miejscu... Ma opinię bezwzględnego i wyrachowanego człowieka. Zastanów się, na ile wiarygodne są jego ustne obietnice.

Rozmowa wytrąciła ją z równowagi i już nie mogła usnąć. Uspokajała się myślą, że ustna obietnica jest równie wiążąca, jak pisemna umowa. Nie podejrzewała Bryna o podłość i o to, że wyrzuci pastora i każe rozebrać kościół. Poza tym trudno było zakładać, że zaprzepaści cały wysiłek, włożony w przygotowanie kościoła na milenijny ślub. Serce mówiło jej, że Rick się myli, a mimo to osaczyły ją wątpliwości. Bryn dorobił się milionów i reklama przyniesie mu następne, lecz pod warunkiem, że wszystko będzie na najwyższym poziomie. Brak artystycznych kompozycji kwiatowych oznaczałby katastrofę, więc on zrobi wszystko, byle tylko pracowała do samego końca.

- Rick jest podejrzliwy - szepnęła przygnębiona - a Bryn wcale nie taki zły.

Trzydziestego pierwszego grudnia przez cały dzień zwijała się jak w ukropie i zamiast chodzić, biegała. Wszyscy pracownicy biegali. Na terenie ośrodka już kłębił się tłum gości, wśród których byli ludzie bardzo sławni i bogaci, znani dziennikarze i fotografowie, przystojni mężczyźni i piękne kobiety. Sophie zastanawiała się, czy któraś urzeknie Bryna. Była to bardzo przykra myśl.

O trzeciej większość dekoracji znajdowała się już na swoim miejscu.

- Nareszcie możemy zająć się girlandami do kościoła - powiedziała Sophie z westchnieniem.

- Najpierw zaparzę herbatę - zdecydowała Louise. - Umrę z pragnienia, jeśli się nie napiję.

Właśnie siadały przy stoliku, gdy weszła sekretarka dyrektora ośrodka. Pani Hunter, zazwyczaj uosobienie spokoju i równowagi duchowej, miała wręcz przerażoną minę.

- Co się stało? - zawołała Louise.

- Sophie, nie wiem, jak ci to powiedzieć - zaczęła ze łzami w oczach. - Och, Sophie...

Sophie śmiertelnie pobiadła i szepnęła:

- Dziadek? Co mu się stało?

- Nic. Pastor chyba czuje się dobrze. Przynajmniej na razie, bo jeszcze nic nie wie. A ja nie wiem, jak mu to powiedzieć. I tobie też...

- O co chodzi?

- Mój szef uważa, że ty powinnaś dowiedzieć się pierwsza. - Pani Hunter jakby zgarbiła się. - O tym... że znowu... zaszła zmiana. - Załamał się jej głos. - Ślub nie odbędzie się w kościele, tylko tutaj. I twój dziadek nie pobłogosławi...

- Co?

- Ma być ślub cywilny.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pani Hunter wiedziała tylko tyle.

- Serdecznie ci współczuję, ale naprawdę nic więcej nie umiem powiedzieć - usprawiedliwiała się. - Pan Heston tyle mi powiedział i kazał natychmiast przekazać tobie, bo... musisz zmienić dekoracje i... uprzedzić pastora. - Smutnym wzrokiem popatrzyła na wiadra pełne uroczynu. - Tak mi ciebie żal. Wyobrażam sobie, jak ciężko twój dziadek to przeżyje.

- Bryn kazał wszystko zmienić, prawda?

Sophie mówiła zdumiewająco spokojnie, jak gdyby spodziewała się takiego obrotu sprawy i od samego początku wiedziała, że taki będzie koniec.

- Nie wiem. - Sekretarka bezradnie rozłożyła ręce. - Przysięgam, że nic więcej nie wiem. Powiedziałam ci tyle, ile usłyszałam od szefa.

Trzy kobiety spoglądały na siebie osłupiałym wzrokiem.

- Kwiaty... chyba... się przydadzą - nieudolnie pocieszała pani Hunter. - Do zdjęć reklamowych...

Sophie w duchu przyznała jej rację. Wszystko było zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach i Louise zrobiła próbny bukiet, więc poradzi sobie, nawet jeśli ona natychmiast rzuci pracę. Fakt, że Bryn postąpił tak nieuczciwie, był ciosem w samo serce.

- Nienawidzę go - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Uduszę go gołymi rękami.

- Och, Sophie... - Sekretarka nerwowo się zaśmiała. - Nie bądź...

- Melodramatyczna? Wcale nie jestem. - Spojrzała pani Hunter w oczy. - Gdzie on jest?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Po południu go nie widziałam, a szef usiłował go znaleźć, ale bez skutku. Przysięgam z ręką na sercu, że nie wiem, gdzie jest.

- Znajdę go. - Sophie wytarła ręce o spodnie i się wyprostowała. - A jak go dopadnę...

Nie dokończyła, ponieważ nie wymyśliła odpowiednio srogiej kary.

Szukała go wszędzie, gdzie mógłby być, lecz nie znalazła.

- Tchórz! - mruczała pod nosem. - Lis-przechera. Gad. Pewno wlaźł do jakiejś nory...

Poszła do jego mieszkania, zajrzała do pałacu ślubów i restauracji, ale nigdzie go nie było. Wróciła do foyer i tu zauważyła pana Hestona, rozmawiającego z elegancką kobietą po sześćdziesiątce. Podeszła, nie bacząc, że im przerwie.

- Przepraszam, wie pan, gdzie jest Bryn?

- Sophie... - Dyrektor urwał zażenowany. - Moja droga, bardzo mi przykro...

- Gdzie on jest?
 - Nie wiem. - Spojrzał na elegancką damę. - Pozwoli pani, że przedstawię jej panią Sophie Connell. Sophie, pani Marie Jasper jest matką Bryna.
 - O, to pani jest jego Sophie? - spytała pani Jasper z żywym zainteresowaniem.
 - Nie jestem, bo już tu nie pracuję - burknęła Sophie, patrząc na nią zezem. - Przykro mi to mówić, ale ma pani okropnego, obrzydliwego syna. Panie Heston, jeśli panu życie mile, niech mi pan powie, gdzie on się zaszył.
 - Co pani zamierza zrobić? - Pani Jasper zrobiła przerażoną minę, ale oczy wesoło jej błysnęły. - Ma pani z nim porachunki?
 - Jeśli jego postępek zabije mojego dziadka, to na pewno go zamorduję.
- Powiedziała to z taką groźbą w głosie, że pani Jasper pytająco spojrzała na dyrektora.
- Pani Connell jest poirytowana. Nie bez powodu - rzekł pan Heston. - Sophie, przysięgam, że nic wcześniej nie wiedzieliśmy. Nikt nic nie wiedział.
 - Więc jak...
 - Znalazłem na biurku kartkę z informacją, że znowu zmieniono plany. To wszystko, co wiem. Natychmiast zadzwoniłem do Draffusa, który potwierdził, że ślub jednak ma się odbyć tutaj w obecności pana Hamiltona. Był niemal opryskliwy i nic więcej nie mogłem z niego wydusić. To naprawdę wszystko, co wiem.
 - Na pewno Bryn maczał w tym palce.
 - Nie wiadomo. Wierz mi, że próbowałem go znaleźć, tym bardziej że przyjechała pani Jasper...
 - Szukajcie a znajdziecie... - Sophie zamknęła oczy i dodała ciszej: - Błagam... jeśli pan coś może... niech wróćą do poprzedniego planu, bo... Mój Boże! Jak ja powiem o tym dziadkowi?
- Urwała ze szlochem i wybiegła przed hotel.
- Śliczne stworzenie - szepnęła pani Jasper do siebie, po czym zwróciła się do dyrektora: - Co się tutaj dzieje? Mój syn... Czyżby ją skrzywdził?
 - Myślałem, że ja jestem bezwzględny - rzekł zamyślony pan Heston - ale jeśli Bryn rzeczywiście się za tym kryje... Posunął się za daleko, a w Marlin Bluff są ludzie, którzy mogą zbuntować się przeciwko niemu...
- Sophie jeszcze raz przeszukała cały ośrodek i stanęła zdezorientowana. Po namyśle postanowiła zapytać Joego, czy widział Bryna. Nieopodal pomocnik ogrodnika podlewał palmy w doniczkach, więc podeszła do niego i dowiedziała się czegoś, co ją zaniepokoiło.
- Nie wiem, gdzie jest Joe - oznajmił ogrodnik. - Będzie awantura, jeśli zaraz go nie znajdziemy. Tyle trzeba jeszcze zrobić, a on najlepiej wie, jak nami dyrygować.

- Nie ma go? - zdziwiła się.
- O dwunastej ktoś do niego zadzwonił i po tym telefonie zniknął. Co chwilę ktoś o niego pyta.

- Pan Jasper też pytał?
- Jeszcze nie.
- Szukam szefa.
- Mogę powiedzieć, gdzie jest.
- No, gdzie?
- Siedzi w łódce. Akurat miałem wypłynąć, żeby obejrzeć siatkę, gdy przyszedł z psami i powiedział, że sam sprawdzi. To żmudna robota na trzy, cztery godziny.

- Zabrał psy ze sobą?
- Tak, ale nic im nie będzie. Joe też z nimi pływa, więc są przyzwyczajone. Intryguje mnie, czemu szef mnie zastąpił. -Spojrzał na zegarek. - Powinien skończyć za jakieś dwie godziny. Mam nadzieję, że do tego czasu Joe wróci, bo inaczej będzie miał się z pyszna.

Sophie powoli szła w stronę domu i zastanawiała się, co zrobić. Chciała rozmówić się z Brynem, ale skoro był nieosiągalny, musiała wrócić do domu, aby powiedzieć siostrze i dziadkowi, że niepotrzebnie sprzątnęli i przystroili kościół.

Łzy napływały jej do oczu na wspomnienie radosnej atmosfery, jaka przez kilka dni panowała w domu. Ellie przyjeżdżała z mężem i dziećmi i wszyscy dokładali starań, aby upiększyć kościół. A teraz pryśnie ich marzenie o tym, by dziadek udzielił dwutysięcznego ślubu.

Przypomniała sobie, co mówił Rick i ze złości zazgrzytała zębami. Przeklinała Bryna za to, że bezwzględnie dążąc do celu, rani tyle osób.

- Wypłynął, żeby uciec przede mną - mruknęła. - Taki tchórz! Przez niego nie mam odwagi spojrzeć dziadkowi w twarz. Co robić? Co robić?

Uznała, że musi się z nim rozmówić. Wbrew rozsądkowi łudziła się, że jeszcze jest czas i będzie można znów wszystko odwołać. Byle tylko Bryn zrozumiał jej punkt widzenia i dał się przekonać. Szansa była niewielka, lecz serce podpowiadało, że należy ją wykorzystać. Skręciła na plażę i w dali dostrzegła łódź przy końcu oznakowanego miejsca do kąpieli.

Kapielisko należące do ośrodka zajmowało pięć akrów. Siatka zabezpieczała kąpiących przez rekinami, które tu rzadko wpływały, oraz przed try gonami, które latem pojawiały się bardzo często. Co kilka tygodni nurkowie przeglądali siatkę pod wodą, a oprócz tego należało regularnie sprawdzać, czy jej brzeg jest cały i wystaje nad powierzchnię. Nadwodna część powstrzymywała stułbiopławy, stworzenia

podobne do meduz, które unosiły się na powierzchni i mogły boleśnie zranić człowieka.

Plaża była pusta, ponieważ goście hotelowi przygotowywali się do noworocznej zabawy. Ratownik akurat wyciągał na brzeg motorówkę, w której spieszył na ratunek tonącemu. Sophie nagle przyszła do głowy pewna myśl, więc pobiegła do niego.

- Steve, zostaw łódkę - zawołała. - Jest mi potrzebna.

- Do czego?

- Mam ważną sprawę do Bryna. Ratownik popatrzył na szefa i się zawahał.

- Wątpię, czy ma ochotę z tobą rozmawiać. Nie rozumiem, co go napadło, że zabrał się do sprawdzania siatki. Chyba chciał uciec od ludzi... Aż go roznosiło, więc ja na twoim miejscu trzymałbym się jak najdalej od niego. Gotów skrócić cię o głowę.

- Raczej ja go skrócę - rzekła groźnie. - Nie nastraszysz mnie, bo wiem, co robię.

- Ale...

- W najgorszym razie wyrzuci mnie z pracy, a tego się nie boję.

Bryn po powrocie z Francji rzucił się w wir pracy, a mimo to nie mógł spać, więc czuł się coraz gorzej. Nie potrafił jasno myśleć i irytował się, że nie może poradzić sobie z uczuciami.

Powtarzał do znudzenia, że Sophie jest kobietą jak inne, ale groźną dla niego, więc powinien jak najprędzej o niej zapomnieć. Postanowił, że po milenijnych uroczystościach wyjedzie z Australii i zostawi ośrodek pod opieką pana Hestona. Czuł się zbędny i podejrzewał, że tak świetnie wyszkolony personel mógłby przygotować milenijne obchody bez niego. Dawniej przerzucał część obowiązków na dyrektora, lecz w tych dniach wziął większość na siebie. Aby nie oszaleć, pracował od rana do wieczora, a mimo to głowę zaprzętała mu tylko Sophie. Ośrodek tonął w kwiatkach, więc na każdym kroku przypominały o niej piękne, stylizowane kompozycje. Zdesperowany uciekł przed nią, i przed ludźmi w ogóle, do najbardziej żmudnego zajęcia w ośrodku.

- Muszę o niej zapomnieć - szeptał. - Nie chcę tak cierpieć jak po śmierci Tiny.

Psy zaczęły szczekać, więc uniósł głowę i dłonią osłonił oczy. Serce mu przestało bić, gdy zobaczył, kto siedzi w motorówce.

Sophie nie podpłynęła zbyt blisko, ponieważ bała się, że psy przeskoczą i wywrócą łódkę. Nie chciała, aby Bryn miał okazję ją ratować. Zatrzymała się w odległości trzech metrów i cierpliwie czekała, aż Bryn uciszy dogi.

- Czego chcesz? - burknął niegrzecznie.

Łudził się, że zniechęcona lub wystraszona jego szorstkim tonem odpłynie i zostawi go w spokoju. Bardzo pragnął spokoju, a ponadto nie wiedział, jak się zachować, czuł się jak w matni.

- Muszę porozmawiać. - W jej głosie brzmiała groźba. -Natychmiast.
- Na pewno możesz poczekać, aż wyjdę na brzeg.
- Nie mogę, bo wtedy już mnie tu nie będzie.
- Jak to? - Wytrzeszczył oczy. - Co to znaczy, że cię nie będzie? Co wymyśliłaś?
- Nic nie wymyśliłam. Rzucam pracę i więcej nie chcę cię widzieć na oczy! - krzyknęła z pasją. - Nie mam siły z tobą walczyć. Jesteś górą, dopiąłeś swego. Masz wszystko, o co od początku ci chodziło: ślub, kwiaty, gości z nazwiskami i pieniędzmi. Postawiłeś na swoim, wcale nie przejmując się, że przy tym zranisz tyłu ludzi. Mataczysz, zwodzisz, oszukujesz. Brzydzę się tobą i nie chcę cię znać. Tylko to chciałam ci powiedzieć.

Włączyła silnik i odpłynęła, nim zdołał ochłonać i otworzyć usta. Przez kilka sekund trwał w osłupieniu. Co się dzieje? O co chodzi? Zaklął pod nosem i rzucił się w pościg. Miał lepszą łódź i mocniejszy silnik, więc prędko wyprzedził Sophie, zajechał jej drogę i zmusił, by skręciła w bok.

- Zaczekaj! - wołał, przekrzykując warkot silników. - Poczekaj !

Sophie jakby ogłuchła. Odwróciła zapłakaną twarz, wyminęła go i popłynęła dalej.

- Poczekaj!

- Zostaw mnie.

Nie słyszał słów, lecz widział ruch jej ust i rozpacz na twarzy. W przyływie współczucia zapomniał o swojej rozterce i zrozumiał, że Sophie wyrządzono krzywdę, że jest nieszczęśliwa. Nie mógł dopuścić, by go wyminęła i uciekła, musiał dowiedzieć się, dlaczego płacze. Chciał być przy niej.

Popłynął równolegle, ale w odległości, której psy nie mogły pokonać susem. Dogi szczerkały jak oszalałe, co uniemożliwiało rozmowę.

- Siad! - wrzasnął na całe gardło. - Powiedziałem „siad“!

Psy, o dziwo, posłusznie usiadły. Bryn podpłynął do motorówki i schwycił poręcz linową. Zdawał sobie sprawę, że psy długo nie usiedzą spokojnie, więc zwiększył szybkość i pociągnął Sophie za sobą. Potem nagle wyłączył silnik i przeskoczył do jej łódki.

Dogi zerwały się i zaczęły rozpaczliwie ujadać. Odległość między łodziami prędko się zwiększyła, a instynkt samozachowawczy nie pozwolił psom wyskoczyć za burzę.

W jednej łodzi płynęły oszalałe psy, w drugiej Sophie i człowiek, którego nienawidziła. Na brzegu stał ratownik, który nie wierząc własnym oczom, patrzył na nich przez lornetkę.

- Wynoś się! - syknęła Sophie. - Precz z mojej łódki!

- Nie.

Bryn przykleknął i wyłączył silnik.

- Sophie - zaczął tak cicho, że ledwo go słyszała, ale patrzył na nią ciepło, z troską. - Co się stało?

- Wynoś się! - krzyknęła zrozpaczona. - Jeszcze śmiesz pytać!

Potrzebowała broni, czegoś, czym mogłaby przepędzić Bryna. Rozejrzała się. Płynęli tuż koło siatki oblepionej wodorostami, więc wyszarpnęła pełną garść i rzuciła mu w twarz. Było to równie niemądre i dziecinne jak rzucanie meduzami, ale nie miała nic innego.

- Ty...

Wybuchnęła gorzkim płaczem, a wtedy Bryn objął ją i przytulił.

- Kochana, powiedz, o co chodzi.

Nie mogła się opanować, jej ciałem wstrząsało łkanie.

- Jesteś potworem - wykrztusiła przez łzy. - Puść mnie.

- Najpierw powiedz, co się stało.

- Co się stało? - powtórzyła ze złością, odepchnęła go i krzyknęła: - Oszuście, nie udawaj, że nie wiesz! Nie mogę sobie darować, że ci zaufałam. Rick uprzedzał, że chcesz mnie wykorzystać i że nie dotrzymasz obietnicy, gdy przestanę ci być potrzebna. Nie wierzyłam mu. O, ja głupia, naiwna... - Ukryła twarz w dłoniach i szepnęła: - Nie mogę uwierzyć, że tak mnie potraktowałeś i tak oszukałeś mojego dziadka.

Bryn wpatrywał się w nią osłupiały, a po chwili schwycił za rękę. Krwawiło mu serce na widok rozpaczki ukochanej. Sophie płakała! To straszne. Zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Nie złamałem danej obietnicy - rzekł poważnie. - Nie wiem, co zaszło, ale przysięgam, że nie złamałem obietnicy.

- Przecież namówiłeś Draffusa, żeby zmienił plany.

- Na co namówiłem? Chcesz powiedzieć, że odwołał ślub?

- Nie odwołał, bo to by ci popsuło szyki, prawda? Mówisz, jakbyś nie wiedział, co on zrobił, a przecież doskonale wiesz. W ostatniej chwili, gdy już wszystko zrobiłam, wprowadził drobną zmianę w naszym... w dziadka planie. Ślub się odbędzie, ale w ośrodku, w obecności Hamiltona.

- Czemu kpisz ze mnie? - Patrzył na nią przerażonym wzrokiem. - To tylko żart, prawda?

- Przyznaj się, że wiedziałeś. Od początku wiedziałeś, że dziadek nie udzieli tego ślubu.

- Nie wiedziałem. - Zaklął, a potem znowu przytulił ją, mimo że się opierała. - Przysięgam, że nic nie wiedziałem. Przysięgam, że nie przyłożyłem do tego ręki. Za nic bym cię nie zranił.

- Mimo to zraniłeś - szepnęła. - Bardzo boleśnie. Nie jestem ci potrzebna. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Masz, co chciałeś i nic więcej cię nie obchodzi.

Bryn wtulił twarz w jej włosy.

- Powiedz mi, czemu mnie uwodziłeś?

- Czemu?

Wreszcie przestał się bać tego, że musi wyznać prawdę. Musiał odważyć się mówić o miłości. Odsunął się i popatrzył na jej zapłakaną twarz.

- Bo bardzo tego chciałem - rzekł półgłosem. - To nie była przelotna miłość. Pragnąłem cię jak żadnej innej kobiety.

- Byłaś jedna jedyna - mówił z rosnącym uczuciem. - Potem zdawało mi się, że mnie wykorzystujesz i chciałem się odsunąć. Boję się miłości, bo dziesięć lat temu straciłem ukochaną siostrę, a potem zakochałem się w podobnej do niej kobiecie, która wyśmiała moją miłość. Dlatego zamknąłem się w sobie, głęboko ukryłem uczucia i nie pozwalałem sercu dojść do głosu. Ale teraz...

- Co teraz?

- Ty cierpisz, a ja nie mogę tego znieść. Kocham cię - wyznał cicho. - Kocham cię całym sercem. Jestem głupi, bo od chwili gdy cię ujrzałem, starałem się zabić to uczucie. Kocham cię teraz i na wieki, więc nie mógłbym oszukać ani ciebie, ani twojego dziadka. Nie wiem, o co chodzi i jeśli nie uda mi się jeszcze raz odkręcić weselnych planów... Twój ból mnie też boli... Jeśli pozwolisz, zrobię wszystko, abyś już nigdy więcej nie płakała...

Sophie wpatrywała się w jego twarz i widziała w niej wyłącznie miłość. Uwierzyła, że mówi szczerą prawdę i z jej oczu trysnęły łzy.

- Sophie... - przeraził się Bryn. - Nie płacz. Przysięgam, że nie zrobiłem nic złego. Nie płacz.

- Pozwól mi się wypłakać. - Przytuliła się do jego piersi. - Tak dawno nie płakałam.

- Nie płacz. - Musnął ustami jej włosy. - Musisz uwierzyć, że nie jestem podły.

- Wierzę ci, ale zawsze płaczę ze szczęścia.

- Zawsze?

- Tak. - Pocałowała go. - Ale nigdy nie byłam aż taka szczęśliwa... i tak zakochana.

Po pewnym czasie przypomnieli sobie o dogach, rozejrzeli się i zobaczyli, że Steve wchodzi do wody, aby wyciągnąć łódź z psami na brzeg. Gdy dopłynęli, Bryn zawołał:

- Przepraszam, Steve. Nie mogłem inaczej...
 - Nie przepraszaj nieszczerze. - Ratownik wybuchnął śmiechem. - Obserwuję was od kwadransa i nie zauważyłem, żeby wam było przykro.
 - Racja. Chcesz trochę dorobić?
 - Czemu nie.
 - Dobrze. - Bryn mocniej objął Sophie. - Zajmij się psami, bo my mamy ważniejsze sprawy.
 - Nie wątpię.
- Steve znacząco popatrzył na Sophie, która zaczerwieniła się.
- Najpierw idziemy do pastora - wyjaśnił Bryn - żeby dowiedzieć się, co ze ślubem.
 - Czyim? - Steve mrugnął porozumiewawczo do Sophie. - Przypilnuj go, żeby się nie wycofał.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Stanęli zdumieni na progu, ponieważ w kuchni było dużo osób. Pan Connell sztywno siedział przy stole, Ellie i James nerwowo chodzili pod oknami, dzieci biegały za psami. Nieopodal drzwi stała zdezorientowana pani Jasper i zdenerwowany dyrektor, a dalej speszona Louise, ogrodnik i sekretarka. Na środku kuchni stał Draffus i od razu rzuciło się w oczy, że jest wściekły. Niemal toczył pianę z ust.

- Gdzie oni są? - zawołał groźnie, gdy zobaczył Sophie i Bryna. - Psiakrew, gdzie się podziali?

- Kto taki? - spokojnie zapytał Bryn.

Sprawiał wrażenie, jakby nic go nie interesowało, nawet milenijny ślub. Miał u boku ukochaną kobietę i niczego więcej nie potrzebował do szczęścia.

- Claire - syknął Draffus. - I ten kulawy ogrodnik z rozciętą głową.

- Joe zniknął - wyjaśnił Heston. - Martwiłem się o niego i dlatego przyszedłem, bo myślałem, że może tutaj dowiem się, gdzie się podział.

- On ją omamił! - krzyknął Draffus.

- Niech się pan opamięta! Joe miałby zrobić krzywdę Claire? - zapytał oburzony pastor. Potem uważnie popatrzył na Sophie i Bryna, twarz mu się rozjaśniła i łagodnie rzekł: - No, dzieci, co nam powiecie?

Sophie próbowała odsunąć się od Bryna, lecz jej nie pozwolił. Pani Jasper zauważyła to i się ożywiła. Draffus jej nie interesował, natomiast intrygowało ją, dlaczego syn tak mocno obejmuje kobietę, która groziła, że go zabije.

- Cholera! Zabrał ją! Uprowadził Claire! - wrzeszczał Draffus. - Nic dziwnego. Wiecie, ile ona jest warta, jakim majątkiem dysponuje? Jeśli położył łapę na jej pieniądzech...

- Dość tego - stanowczo powiedział pan Connell. - Panie Draffus, Claire była u mnie wczoraj wieczorem i odbyliśmy długą rozmowę, bo doszła do bardzo rozsądnego wniosku, że nie chce za pana wyjść. Przykre to dla pana, ale tak wygląda prawda. Nic nikomu nie mówiłem, bo Claire jeszcze mogła się rozmyślić, ale była zdecydowana i miała pana zawiadomić.

- I zawiadomiła. - Draffusa rozsadzała złość, więc nie baczył, co mówi. - Cholerna idiotka. Zadzwoiła rano i powiedziała, że odwołała ślub. - Wyciągnął rękę w stronę pastora. - To pańska sprawa, od razu się domyśliłem. Powiedziałem jej, żeby się nie wygłupiała, a jej ojcu, który wreszcie przyjechał, że trzeba skończyć z tym wariactwem i zabronić Claire spotkań z panem. Pan Lleyton przyznał mi rację, ale potem zjawił się ten łajdak ze szramą...

- Joe - poprawił pastor ostrym tonem.

- Ośmielił się wtrącać w nie swoje sprawy. Powiedział, że Claire jest dorosła i może robić, co chce, a my mamy przestać nią dyrygować. Pan Lleyton pokazał mu drzwi, ale ten bezczelny typ nie chciał się ruszyć z miejsca, więc go zdzieliłem...

- Uderzył pan Joego?

- Za słabo - warknął Draffus. - Claire zaczęła histeryzować, więc matka wyprowadziła ją z pokoju, a my wyrzuciliśmy intruza. - Spojrzał na Hestona. - Potem zadzwoniłem do ośrodka i powiedziałem recepcjonistce, że ślub się odbędzie, ale bez starego pastora. Ma być tak, jak pierwotnie planowaliśmy. Pani Lleyton poszła zawiadomić o tym córkę...

- I Claire się zgodziła?

- Nie było jej w pokoju... widocznie uciekła przez okno. Myślałem, że przyleci tutaj, żeby się wyplakać, więc przyjechałem i dowiedziałem się, że tego kuternogi też nie ma.

- Ledwo wszedł, zaczął ubliżać dziadkowi - powiedziała wzburzona Ellie. - Dlatego zadzwoniłam do ośrodka, żeby się dowiedzieć, co zaszło. Pan Heston obiecał, że przyjdzie, a razem z nim zjawiała się Louise i Martha... i pani Jasper. Chwilę po nich jeszcze przyszedł Hector w poszukiwaniu Joego. Gdy pan Draffus usłyszał, że Joe zniknął, dostał szału.

- On ma na nią chrapkę! - wrzasnął Draffus. - Ostatnio stale kręcił się koło niej.

- Bo ją kocha - powiedziała Sophie. Wszyscy spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

- Joe kocha Claire? - powtórzył Bryn. - Nie rozumiem.

- Kocha, ale uważa, że nie jest jej godny. Widocznie jednak miała naprawdę dość słuchania despotów i gdy Draffus uderzył Joego... - Uśmiechnęła się lekko. - No, jeśli się odważyli...

Zadzwonił telefon. Pan Connell słuchał z rozjaśnioną twarzą i nawet się uśmiechnął. Rzekł coś półgłosem i odłożył słuchawkę na widełki.

- To oni dzwonili z Cairns. Zawiadomili już państwa Lleytonów, że jeden ślub odwołany, ale inny odbędzie się za miesiąc, a mnie prosili, żebym ich pobłogosławił. - Pastor zwrócił się do Bryna: - Joe przeprasza, że wziął wolne bez uprzedzenia, ale chcą kupić pierścionek zaręczynowy i resztę dnia spędzić na jachcie. Ma nadzieję, że pan go zrozumie.

- Jaki ślub za miesiąc? - warknął Draffus. - Nie mogą się pobrać!

- Claire przeprasza wszystkich za przykrości - ciągnął pastor. -Pocieszyłem ją, mówiąc, że milenijne uroczystości nie są warte tego, by przez resztę życia żałowała swego kroku. Panie Draffus, Joe dziękuje, że go pan uderzył, bo właśnie to dodało Claire odwagi.

Draffus zaczął kłąć jak szewc.

- Zabrali jacht! -jęknął. - A ja zaprosiłem kumpli na żagle i obiecałem zafundować im morską wycieczkę jachtem...

Odwrócił się na pięcie i wybiegł.

Kilka minut później, gdy wrzawa ucichła, odezwał się pan Heston:

- Teraz wypada ustalić, co powiemy dziennikarzom.

- Dziennikarzom? - powtórzyła Ellie, załamując ręce. - No tak, nie będzie ślubu tysiąclecia! Och, dziadku... Może jednak Claire i Joe?

- To nie koniec świata - rzekł pastor surowo. - Nawet gdyby prawnie było to możliwe, nie będę ich poganiał. Muszą choć trochę się poznać. Wypadki potoczyły się za szybko.

- Ale prasa? - Pan Heston gorączkowo szukał rozwiązania. - Bryn, co powiemy dziennikarzom? Że ściągnęliśmy ich pod fałszywym pretekstem?

- I co z kwiatami? Szkoda ich - zmartwiła się Louise. - Tyle już przygotowałyśmy i tak bardzo chciałam ułożyć bukiet ślubny.

- Może nic straconego - odezwała się pani Jasper.

Przez cały czas bacznie obserwowała syna, nie spuszczała z niego wzroku. Widziała, że twarz mu jaśniejnie blaskiem szczęścia i zrozumiała, co to znaczy.

- Coś mi się zdaje, że milenijny ślub się odbędzie - rzekła z przekonaniem. - Dobrze, że przywiozłam moją ślubną suknię. Zawsze marzyłam o tym, by przekazać ją synowej i myślę, że rozmiar jest w sam raz. No, synu? Co ty na to powiesz?

- Jak? Co? - zawołała Ellie.

- Mamo, to niemożliwe - odparł Bryn z ociąganiem. - Musi upłynąć miesiąc...

- Nie rozumiem - przerwała mu Ellie. - Nic nie pojmuję.

- Po co czekać miesiąc? - zdziwiła się pani Jasper. - Kochasz Sophie, prawda?

- Tak, ale...

- Sophie... czy kochasz mojego syna?

- Bardzo.

Wszyscy zamilkli wzruszeni, nawet Ellie.

- Przecież trzeba postępować zgodnie z przepisami. - Bryn spojrział na Sophie rozświetlonym wzrokiem. - Niestety, musimy czekać cały miesiąc.

Znowu zapadła cisza, którą przerwał pan Connell, pytając:

- Moi kocham, czy jesteście pewni swej miłości?

- Tak, wielbny pastorze - odparł Bryn. - Jeśli pan nam zezwoli...

Pastor uśmiechnął się wyrozumiale.

- Zezwalam, bo nauczyłem się rozpoznawać prawdziwą miłość. Sophie, czy jesteś gotowa jutro wyjść za mąż?

- Nawet dzisiaj - odparła cicho.
- Więc pobłogosławię wasz związek.
- Ale... Jak to możliwe?
- Śluby w ośrodku są cywilne i muszą odbywać się zgodnie z przepisami - wyjaśnił pastor. - A ja związę was stulą wobec Boga, który nie jest tak rygorystyczny jak prawo. Jutro możecie wziąć ślub przed Bogiem, a za miesiąc podpiszecie cywilne dokumenty. Pobłogosławię was z największą radością. Bryn zwrócił się do ukochanej:
 - Sophie, zgadzasz się? Nie chcę, żebyś decydowała się pochopnie. Nie obchodzi mnie milenium, nie obchodzi cały świat. Ale jeśli chcesz jutro wziąć ślub, będę uszczęśliwiony.

Spojrzała na niego oczyma pełnymi miłości.

- Moje serce już od dawna do ciebie należy, więc weźmy jutro ślub...

EPILOG

Nowy Jork. Pierwszy stycznia. Druga w nocy. Rick, u którego odbywało się huczne przyjęcie, przed chwilą włączył telewizor.

- Mają pokazać milenijny ślub, wokół którego było tyle szumu - wyjaśnił. - Chcę zobaczyć popis Jaspera i jak Sophie ułożyła kwiaty.

Oczy wyszły mu z orbit, gdy zobaczył, że milenijną panną młodą jest Sophie we własnej osobie. Przez chwilę zdawało mu się, że ma przywidzenia. Sophie była ubrana w nieco staromodną, lecz niezwykle elegancką suknię z ręcznie haftowanego jedwabiu. Zdawała się jak stworzona dla niej. Obok niej stał bardzo przystojny pan młody.

- To Jasper! - zawołał ktoś głośno.

Wszyscy umilkli zaskoczeni, że Sophie wychodzi za Jaspera.

- Na pewno małżeństwo na niby - orzekł ktoś inny. - Udają dla reklamy.

- Nieprawda - powiedział Rick.

Przyznano mu rację. Nikt nie miał wątpliwości, że uczucie malujące się na twarzy nowożeńców jest prawdziwe i głębokie.

W kościele w Marlin Bluff odbywał się ślub jak tyle innych przez wiele lat, a jednak różnił się od poprzednich.

Choćby dlatego, że oglądały go miliony ludzi na całym świecie. W malutkim kościele zmieściło się niewiele osób, więc reszta stała przed kościołem. Kilku mężczyzn weszło na pobliskie drzewa, aby lepiej widzieć. Wszędzie, nawet wokół kościoła, były przepięknie skomponowane kwiaty.

Państwo młodzi drżącym ze wzruszenia głosem złożyli przysięgę, a stary pastor związał węzłem małżeńskim swą dwutysięczną parę. Pani Jasper otarła łzy, Ellie i James wzięli się za ręce, a Joe i Claire popatrzyli na siebie rozpromienieni. Wszyscy mieli łzy w oczach.

Dla Sophie istniał wyłącznie Bryn, dla niego istniała wyłącznie ona. Nie widzieli nikogo poza sobą.

Wszyscy byli przekonani, że są świadkami zawierania małżeństwa z miłości, która będzie trwać przez całe życie. A może nawet przetrwa tysiąclecie?

Joe, w tradycyjnym szkockim stroju, grał na kobzie, gdy młoda para szła od ołtarza. Za progiem kościoła Bryn wziął żonę na ręce, a wtedy Sophie rzuciła bukiet, który spadł tam, gdzie powinien, czyli prosto w ręce Claire.

Po odjeździe nowożeńców kamery pokazały Claire, ukrywającą twarz w bukiecie. Prędko jednak uniosła głowę i kręcąc nosem, wyciągnęła coś z kwiatów.

- Spójrz, Joe.

- Co, kochanie?
- Sophie włożyła do bukietu meduzę. Jak myślisz, dlaczego to zrobiła?